Dziś w numerze: Rumaki pani Walewskiej • Front jednolity bardziej niż kiedykolwiek • Tęsknota • Zanim zaśniesz... • Corrida • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA MŁODZIŻOWA

Nr 11 (373)
20. III. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

Fot. — W. Parys

JANUSZ ROSZKO

KARIERA PO POLSKU

Gdy wyburzono narożną kamienicę na Rynku, od strony poczty — na miejscu jej stoi teraz piękny, przeszklony blok, na dole sklep meblowy i księgarnia — trzeba było rozwalić obmurowany sejf. Z sejfu wyleciały na lubiński bruk dwie niepozorne książeczki, wiatr rozwiewał ich kartki i słońce błyskało na ich złocistej powierzchni. Nie bardzo komu chciało się po nie schylić.

Ruch był już wtedy wielki, kręciły się samochody-wywrotki, wzdłuż ulic jeździły sobie bezceremonialnie wysokie po kilkadziesiąt metrów żurawie budowlane, jeden się nawet wywrócił z operatorem Szewczykiem i wszyscy byli zajęci tym dziwnym faktem, że Szewczyk zleciał z takiej wysokości, trzymając się pazurami swojej kabiny i włos mu z głowy nie spadł.

Bo cóż to było za miasto — kilka domów wokół rynku, ulica Odrodzenia z rynku do dworca, z drugiej strony droga Wrocław — Głogów, z której rzadko jaki samochód dawniej wtaczał się na wyboisty bruk rynku w Lubinie, rzadko kiedy z szoferki gramolił się kierowca, żeby łyknąć piwa w gospodzie i posłuchać uderzeń ratuszowego zegara. Dopiero wtedy, gdy gospoda w rynku zmieniła się w pełną dumy restaurację „Miedzianka", gdy Wiktor Macyszyn otwierał z hukiem szampańskich korków nowy dom towarowy w drewnianych budach dla nowego Klondike, gdy stary Gomulicki zaczął chorować, bo nikt już nie chciał słuchać jego bohaterskich opowieści spod Tobruku i Ankony, ani o tym, jakie to są włoskie dziewczęta z Castel Fidardo i San Severino, gdy u Nojmanów cały dom wynajęli ci od miedzi, co nocą wychodzili z knajpy w skarpetkach, bo pani Nojmanowa strasznie beształa, gdy Rasała, który był pionierem, dostał zaszczytne stanowisko portiera w hotelu robotniczym — dopiero wtedy było wiadome, że Lubin będzie miastem, o którym usłyszy cała Polska.

Aż wreszcie schylił się ktoś i powiedział głośno: „wezmę, dam dzieciom do zabawy" — był to ktoś z murarzy. Po kilku tygodniach zgłosił się do niego jakiś bogato ubrany facet. „Przyjechałem aż z Łodzi. Słyszałem, że pan znalazł takie książeczki ze złotymi kartkami. Wypadły z sejfu, który został rozbity...". Wyłożył na stół grube tysiące złotych — po 10 tysięcy za jedną. Drugą książeczkę gdzieś dzieciaki zagubiły, murarz latał, jak oszalały, aż wreszcie przyniósł. Nieznajomy wytłumaczył: „To było złoto 18-karatowe w cienkich listkach, do napisów na nagrobki".

W gruncie rzeczy cały ten zamierający Lubin nigdy nie przypuszczał, że może kiedyś mieć wyzlocony nagrobek. Miejscowość była tak biedna i opuszczona, że trudno ją było nazywać miastem. Nikt nawet nie przypuszczał, że w zakamarkach starego sejfu kryją się dwie książeczki ze złotem w listkach. Ale też nikt nie przypuszczał, że Lubin leży na przeogromnych złożach miedzi. Ale gdy dr Wyżykowski, najbardziej uparty z upartych poszukiwaczy, doszedł do niej po latach rozgrzebywania i dziurawienia Dolnego Śląska — Lubin mógł sobie pozwo-

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ NADOLSKI

TAJEMNICE KURHANÓW

Długi okres obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego dobiega w tym roku swego końca. Godnie i na niejednym polu uczciliśmy Szanownego Jubilata, to jest po prostu... nas samych. Bo chyba zbyt rzadko uświadamiamy sobie ten fakt prosty, a zarazem zdumiewający: to my, my sami dobiegliśmy tysięcznej rocznicy nieprzerwanego bytu społecznego. To nasza tradycja, nasza wspólnota kulturowa uformowała się przed dziesiątkiem wieków. Nasz własny organizm państwowy istniejący dziś jako Polska Rzeczypospolita Ludowa, rozpoczął w tamtych odległych latach drogę dziejową.

Nie byle jaki rodowód, jeśli zważyć, że nie dłużej trwało imperium rzymskie, najpotężniejsze z państw Starożytności, że krótszy jest żywot narodu angielskiego, który ukształtował się ostatecznie dopiero po normandzkim podboju, w sto lat po czasach Mieszkowych. A cóż tu mówić o niespełna dwóchsetletniej historii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej!

Dlatego słusznie szczycimy się swoim Tysiącleciem, słusznie stawiamy na progu naszych dziejów postać Mieszka Ziemomysłowica. Nie dlatego zresztą, że był pierwszym „historycznym" (tzn. wymienionym przez źródła pisane) polskim księciem, bo to w końcu mało ważne, ale że istotnie pierwszy władał POLSKĄ, połączywszy pod swym berłem wszystkie bez reszty plemiona, które z czasem stopiły się w nasz dzisiejszy naród. Dopiero od czasów Mieszkowych możemy mówić o Polsce. Przedtem były tylko ziemie Polan, Wiślan, Mazowszan, Pomorzan, Ślęzan...

A jeszcze przedtem? Wielkie nasilenie badań związanych z akcją obchodów Tysiąclecia odsłoniło społeczeństwu ogromne horyzonty pradziejów, dawno zresztą znane archeologom. Określono jasno, że dzisiejsza nasza kultura, język, więź społeczna jest sumą dorobku nie tylko ostatnich, wspólnie przeżytych dziesięciu wieków i nie tylko owych wcześniejszych przedpiastowskich plemion. W jakimś stopniu trzeba doliczyć tu udział tych wszystkich grup ludzkich, tych wszystkich, nawet najdawniejszych społeczeństw, których losy związały się z dorzeczem Odry i Wisły. Badanie owego odległego dorobku, manifestującego się w postaci materialnych śladów ludzkiej działalności, to szerokie pole działania dla archeologów, nie wszystkich zresztą, bo liczni wśród nich zajmują się właściwie badaniem dziejów późniejszych, wyręczając po trochu historyków średniowiecza.

Popularność archeologii wzrosła ostatnio w naszym kraju ogromnie i nie ulega wątpliwości, że przynajmniej w części spowodowała to wielka akcja badań nad początkami Państwa Polskiego, hojnie finansowana przez władze państwowe, a będąca jedną z największych, jeśli nie największą w powojennym świecie planową imprezą badawczą w dziedzinie nauk humanistycznych. Dorobek archeologów, spopularyzowany przez wystawy, odczyty, filmy i pióra licznych publicystów (nie wyłączając najwybitniejszych) stał się w jakimś stopniu własnością całego społeczeństwa.

Ale... bystrzejszy obserwator dostrzeże bez trudu zjawisko dobrze znane autorom filmów oświatowych o tematyce archeologicznej i scenariuszy wystawowych w archeologicznych muzeach. Oto odkopywane w Polsce zabytki, mają często znakomite walory naukowe, natomiast niemal z reguły, są bardzo niewdzięcznym materiałem pokazowym. Jeśli chcemy je uczynić atrakcyjnymi, przyciągającymi uwagę widza, musimy je uzupełniać celnym komentarzem, trafnie dobraną oprawą plastyczną. Nie są takim „samograjem" jak greckie wazy i posągi, albo egipskie sarkofagi i amulety. I nic dziwnego, że archeolodzy działający na terenie Polski z pewną melancholią myślą o szczęśliwych kolegach, którzy w krajach przylegających do Morza Śródziemnego wydobywają na światło dzienne zabytki nie tylko pasjonujące (tych nie brak i u nas), ale ponadto jeszcze i efektowne. W dodatku nasze rodzime znaleziska rzadko tylko nadają się do pozostawienia w terenie, w krajobrazie do którego należą. Społeczeństwo spotyka się z nimi przeważnie dopiero w salach muzealnych. Po zbadanym cmentarzysku, lub osadzie nie pozostaje zazwyczaj na

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

Bardziej dramatyczny niż można było oczekiwać epilog wydarzeń 30 września rozegrał się w Indonezji. Wobec zagrożenia akcją spadochroniarzy — prezydent Sukarno przekazał władzę grupie wojskowych pod dowództwem gen. Suharto. Ten ostatni natychmiast zdelegalizował Komunistyczną Partię Indonezji.

Zasięgu następstw ostatnich wydarzeń w Indonezji nie można jeszcze określić. Wiadomości z Djakarty o tyle są zaskakujące, że w ostatnim okresie doniesienia wskazywały na umocnienie się pozycji Sukarno. Być może, że właśnie to przyspieszyło działanie wojskowych. Tak czy inaczej — rozwój sytuacji potwierdził, że rację mieli przywódcy ruchu „30 września", kiedy przed pół rokiem przewidywali spisek generałów, zmierzający do obalenia Sukarno.

W chwili, kiedy Czytelnicy wezmą do ręki „Odgłosy", być może pełniej będzie można ocenić obecny układ sił w Indonezji. Piszącemu nie wydaje się bowiem, aby na wydarzeniach z 11 marca mogło się zakończyć.

Podczas gdy Indonezja przykuła uwagę opinii publicznej — w świecie zachodnim rozgrywa się ważny akt paktu atlantyckiego. Po konferencji prasowej de Gaulle'a, o której pisałem przed dwoma tygodniami, nastąpiła wymiana listów między prezydentami Francji i Stanów Zjednoczonych. Treść tej korespondencji nie jest znana. Wiadomo jednak, że de Gaulle tak jak oświadczył to na konferencji prasowej chciałby, aby wszystko co francuskie oraz wszystkie obce elementy, które znajdują się na terytorium kraju, podlegały wyłącznie władzom francuskim, Johnson zaś odrzucił możliwość kontroli Francji nad urządzeniami NATO.

Po wymianie listów mnożą się oświadczenia rzeczników, a także pisma Johnsona do szefów sojuszniczych krajów — kanclerza Erharda i premiera Wilsona...

Krzyżowanie dyplomatycznych szpad na temat rekonstrukcji NATO jest prawdziwym żniwem dla prasy zachodniej. Zanotujmy więc kilka ciekawszych wypowiedzi. Zacznijmy od gazet francuskich.

„W najbliższych miesiącach USA będą prowadzić akcję dyplomatyczną, zmierzającą do zahamowania pretensji francuskich. Może ona mieć jednak tylko skutek połowiczny i prez. Johnson wie o tym. Zdaje sobie sprawę ze stanowczości gen. de Gaulle'a i wie, że w końcu będzie musiał wycofać z terytorium francuskiego stacjonujące tam wojska" („Combat").

„Bez obawy o popełnienie błędu można stwierdzić, że wycofanie 26 tys. żołnierzy amerykańskich jest jedynie sprawą kilku miesięcy" („Monde").

A teraz — prasa amerykańska.

„Nawet człowiek o tak długich nogach, jak gen. de Gaulle, nie może wykraczać znacznie dalej z NATO jedną nogą, stojąc drugą w NATO... Jesteśmy pewni, że żaden rząd amerykański nie okaże się tak elastyczny, jak to się de Gaulle'owi wydaje..." („Chicago Tribune").

„De Gaulle stwarza sytuację, której Stany Zjednoczone nie powinny zaakceptować, a mianowicie zasadę dwustronnego podejścia do kolektywnego bezpieczeństwa zachodniej Europy" („Chicago Sun Times").

I wreszcie gazety zachodnioniemieckie.

Prezydent Francji „chce przepędzić USA z Europy i jeśli cel ten udałoby mu się zrealizować w najbliższych latach, to wywołałoby to ciężkie konsekwencje dla nas, Niemców" („SPD — Presse — Dienst").

„Odmowa Erharda dla planów Francji, dotyczących NATO, integracja musi być utrzymana" („Koelnische Rundschau").

Wystarczy, by chociażby na tej podstawie zorientować się co kto myśli.

Kolejnym posunięciem Francji — po wspomnianej wymianie listów — w procesie jej wycofywania się z organizacji atlantyckiej było w ostatnich dniach wystosowane przez nią „szczegółowe memorandum" do państw NATO. Rząd francuski zapowiada w nim, że podejmie szereg kroków w celu przywrócenia — zacytujmy — „pełnej suwerenności terytorium Francji".

Co na to sojusznicy Francji?

Wydaje się, że zamierzają oni utworzyć wspólny front, by zapobiec rozbiciu NATO. Że jednak znają zdecydowanie i upór de Gaulle'a — ewentualności wycofania się Francji nie mogą lekceważyć. Rozglądają się więc podobno, gdzieby tu przenieść siedzibę NATO (koszt — ok. miliarda dolarów). Wybór, jeśli te pogłoski są prawdziwe, pada ponoć na Półwysep Apeniński. Propozycja ta postawi na pewno Włochy w bardzo trudnej sytuacji. Wywoła bowiem niewątpliwie gwałtowne protesty społeczeństwa i może zachwiać słabiutką pozycję z trudem przecież zmontowanego rządu włoskiego.

Reperkusje kroku Francji mogą być we wspólnocie atlantyckiej bardzo różnorodne. Może on mieć także pośredni wpływ na wydarzenia na scenie wietnamskiej, ponieważ — jak zauważają niektórzy komentatorzy — administracja amerykańska, mimo swej liczebności, nie umie prowadzić dwóch spraw jednocześnie. Na razie jednak McNamara przyznaje, że Stany Zjednoczone kontynuują zwiększanie liczebności swych sił w Wietnamie oraz rozważają możliwość zaminowania portu Hajfong. A więc w dalszym ciągu eskalacja.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

■ Amerykański senator Fulbright wyjawił w czasie przesłuchiwań prowadzonych przez senacką komisję spraw zagranicznych, że niektórzy wysocy urzędnicy administracji uważają, iż wojna w Wietnamie szybko zmierza do starcia USA z ChRL. Senator powiedział również, że eksperci waszyngtońscy sądzą, iż rząd ChRL jest przekonany, że do starcia takiego dojdzie jeszcze w tym roku.

■ **Uspółdzielczona gospodarka wiejska w NRD obejmuje swym zasięgiem areał stanowiący 93,7 proc. całej powierzchni użytków rolnych. W przemówieniu wygłoszonym na Kongresie Chłopskim, Przewodniczący Rady Państwa NRD, Walter Ulbricht, powiedział: „Wśród krajów demokracji ludowej byliśmy faktycznie ostatni, którzy zaczęli ruch spółdzielczy. Nie oznacza to jednak wcale, że również obecnie jesteśmy jeszcze ostatni."**

■ Dyrektor Krajowej Agencji do Spraw Astronautyki i Badań Kosmicznych USA, dr James Webb, oświadczył, że Stany Zjednoczone pozostają o dwa lata w tyle za Związkiem Radzieckim w dziedzinie badań kosmicznych.

■ Albański dziennik „Zerii Popullit" zamieścił artykuł, wzywający do kierowania działaczy aparatu partyjnego oraz inteligentów do pracy fizycznej w fabrykach i na wsi.

■ **W Waszyngtonie rozpatrywana jest możliwość zaminowania portu w Hajfongu w DRW. Jako obiekcje przeciw realizacji tego zamierzenia wysuwa się ryzyko konfrontacji ze Związkiem Radzieckim.**

■ W Kalkucie, w Indiach, rozruchy głodowe. Interweniowało wojsko. W Północnym Bengalu pojawiły się odręcznie pisane ulotki, wzywające ludność do zbrojnego powstania. Hinduski rząd określony został w ulotce jako „lokaj imperializmu".

„Ślepy na krytykę, głuchy na kontrargumenty".
(„Los Angeles Times")

■ **Według oceny amerykańskiej instytucji „National Science Foundation" ChRL posiadała w 1962 roku 1,2 miliona techników i 230 tys. inżynierów, wobec 12 tys. techników i 5 tys. inżynierów w 1952 roku. Ta sama instytucja utrzymuje, iż jednym z głównych celów polityki oświatowej ChRL jest wykształcenie kadry naukowców i techników o wysokim poziomie, którzy byliby w stanie samodzielnie, jeśli zajdzie tego potrzeba, bez pomocy z zewnątrz, zapewnić dalszy rozwój naukowy i techniczny w kraju.**

■ Emigranci jugosłowiańscy i osoby czasowo zatrudnione poza granicą kraju przysłały w ubiegłym roku do Jugosławii ponad 90.300 tys. dolarów, to jest około 13 proc. więcej niż w roku 1964.

■ **Angielski jasnowidz, Maurice Woodruff, podający się za konserwatystę, indagowany przez angielskie instytuty badania opinii publicznej przepowiedział przed kamerami telewizji zwycięstwo wyborcze torysów. Leader konserwatystów Heath nie zdradzał ponoć z powodu tej wróżby oznak szczególnej radości, nie uszła ona natomiast uwadze przywódcy labourzystów Wilsona. Woodruff utrzymywał, że jego opinia nie jest zwykłym przypuszczeniem, lecz proroctwem wynikającym z głębokiej wiedzy jasnowidzkiej. Powiedział on również, że w swojej książce „Jutro, widziane dzisiaj" napisanej latem 1965 roku i opublikowanej w ubiegłym miesiącu, przepowiedział upadek Nkrumaha, śmierć Somerset Maughama oraz wiosenną modę paryską a. d. 1966.**

■ Jedyna partia w ZRA — Arabskij Zwiazek Socjalistyczny liczy 6 milionów członków, to jest prawie tyle samo ilu wyborców. Przywódcy partii uważają, że stan ten nie jest oznaką siły partii, lecz jej słabości. Kierownicy Związku zamierzają przystąpić do energicznego umacniania organizacji przez powiększenie liczby kadr wyszkolonego ideowego aktywu. Ocenia się, że aktyw kadrowy liczy obecnie około 5 tysięcy osób. W ciągu pięciu lat dążyć się będzie do zwiększenia jego liczby do 100 tysięcy osób.

■ **Na łamach pisma „Sowietskaja Rossija" ukazał się artykuł pt. „Antysemityzm szaleje w USA". Inny numer tego pisma zamieszcza protest obywateli radzieckich pochodzenia żydowskiego, przesłany za pośrednictwem pisma ambasadzie USA w Moskwie, przeciwko pobłażliwości rządu Stanów Zjednoczonych wobec „rozpasanych faszystów antysemitów".**

„Równocześnie protestujemy — piszą autorzy protestu — przeciwko postawie tych dziennikarzy amerykańskich, którzy szkalują Związek Radziecki, szerząc fałszywe informacje o istniejącym rzekomo w ZSRR antysemityzmie. My, Żydzi, oświadczamy, że korzystamy ze wszystkich praw przewidzianych w konstytucji Związku Radzieckiego i że bez przeszkód spełniamy wszystkie swe praktyki religijne".

■ W Moskwie odbyło się sympozjum filmowców włoskich i radzieckich zorganizowane z inicjatywy radzieckiej, w związku z Tygodniem Filmów Włoskich. Szerokim echem w prasie światowej odbiło się wystąpienie wybitnego reżysera radzieckiego G. Czuchraja. Oto fragment tego wystąpienia w relacji dziennika „Unita":

„...tendencja, która przeważa teraz w ZSRR, to tendencja rozwoju. Jesteśmy coraz bardziej wolni, coraz bardziej demokratyczni. Ludziom, którzy tak po bratersku stawiają sprawę opóźnień w naszym rozwoju, powinniśmy przypomnieć, że jabłko nie dojrzewa od razu. Przed rewolucją panował tu ustrój feudalny. Demokracja, aby się rozwinąć wymaga czasu, zwłaszcza, gdy mowa nie o demokracji starej, lecz nowej."

Tworzenie filmów — nie jest zwykłą formą sztuki — jest to forma życia.

FEDERICO FELLINI

■ **Amerykańscy spadochroniarze w Wietnamie przechwycili gołębia pocztowego z przywiązanym do nóżki listem zawierającym wiadomość przesłaną przez partyzantów Vietcongu. Jest to pierwszy wzięty przez Amerykanów do niewoli tego typu jeniec w czasie trwania konfliktu wietnamskiego.**

■ Prasa ChRL prowadzi kampanię wychowawczą pod hasłem: „Wzorować się na najlepszych". Jednym z przykładów propagowanych na łamach dzienników jest załoga budowniczych nowego zagłębia naftowego w Taczing. Oto główne cechy tej załogi: wysoka świadomość polityczna i powszechne studiowanie dzieł Mao Tse-tunga (90 proc. stanu załogi); wszyscy członkowie załogi bez względu na zajmowane stanowiska żyją na tej samej stopie; podstawowym źródłem energii robotników jest świadomość polityczna, a tzw. bodźce materialne nie odgrywają żadnej roli. Pracownicy zagłębia odrzucili m. in. projekt podjęcia budownictwa mieszkaniowego z funduszów państwowych i mieszkają w lepiankach, budowanych przez samych robotników w godzinach wolnych od pracy w kombinacie.

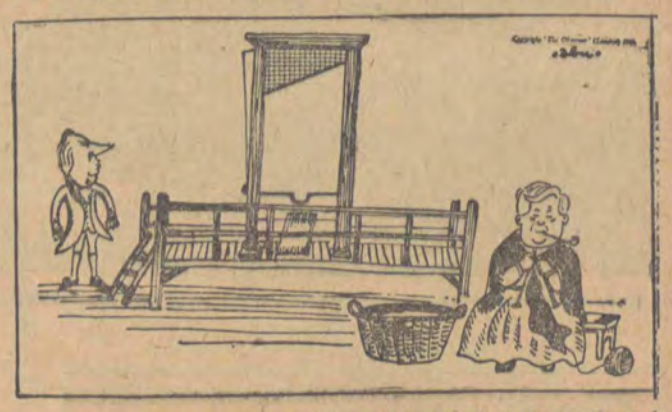

Labourzyści oczekują druzgocącego zwycięstwa w wyborach.
(The Observer)

Wiele jest sposobów pływania, ale tylko jeden utonięcia.

EMIL KROTKI

WIELKI ŚWIAT CAPOWIC

Listy do redakcji, jak tramwaje, chodzą stadami. Czekasz — nie ma ani jednego, nie czekasz — skolko ugodno. Czekałem prawie miesiąc, miesiąc studiowałem uważnie naszą prasę literacką i kulturalną. Nic, puchy, aż nagle w ubiegłym tygodniu redaktorzy jakby się umówili, zatrzęsienie listów.

Człowiek czyta i od razu przenosi się w inny świat. Wielki świat eleganckich zawijasów, łamańców myślowych, powiedzeń dawno zapomnianych w rodzaju — łaskawy mój przedmówca, mój szanowny preopinant, ex cathedra, pozostaję z szacunkiem et caetera bomba. No i świat niezwykłych informacji, cennych tak dalece, że człowiek mimo woli zastanawia się, jak mógł dotąd bez nich żyć.

Oto na łamach „Tygodnika Kulturalnego", nie byle kto, bo sam zastępca dyrektora „Orbisu" do spraw technicznych zawiadamia czytelników, że orkiestra, która przygrywa w Cocktail Barze Hotelu Europejskiego, nocą oczywiście, „pracuje w marynarkach koloru kremowego — a nie w koszulach, jak to podał autor artykułu". Ten autor to publicysta „Tygodnika", który nie zrozumiał prostej sprawy. Nasz „Orbis" stać nie tylko na marynarki złotem szamerowane, ale i na najwyższe ceny w kraju. Jak można obrażać „Orbis"?

A w „Życiu Literackim" spotykamy się z propozycją niezwykle cenną. Znany satyryk pan Witold Zechenter recenzuje recenzję z własnego tomiku satyr. Obie recenzje są ujemne, znaczy, że pan Zechenter napisał ujemną recenzję o ujemnej recenzji ze swojego tomiku. Musiał tak uczynić dlatego, że jego recenzent, jak się panu Zechenterowi wydaje, brał pod uwagę 27 utworów na 88, z czego wynika, że 61 nie recenzowanych powinno mu się podobać, skoro nie napisał o nich ani tak, ani siak, a tylko o tamtych 27 źle. Wniosek narzuca się sam. Nikt tak dobrze nie oceni książki, jak sam autor. Tego, oczywiście, pan Zechenter nie napisał w liście do redakcji, no, ale wystarczy czytać, czego nie napisał. Jeżeli więc nasi wydawcy chcą mieć na swoich łamach dobrych krytyków, powinni przyjmować maszynopisy wraz z recenzjami, fotografią i krótkim panegirykiem de se ipso ad posteritatem...

A w „Tygodniku Powszechnym" znajdujemy pasjonujący dwugłos polemiczny, panów Wincentego Iwanowskiego i Olgierda Terleckiego na temat bitwy pod Monte Cassino. O ile dobrze rozumiem, pan Iwanowski twierdzi, że pan Terlecki nie powinien z nim polemizować na łamach „Współczesności", a to dlatego, że on (Iwanowski) pisał w „Życiu Literackim" i „Tygodniku Powszechnym", a więc w pismach wychodzących w Krakowie, których, być może, nie czytają w Warszawie, gdzie wychodzi „Współczesność", która, być może, nie jest czytana w Krakowie. Rzeczywiście, może jest, a może nie jest. A dalej pan Iwanowski pisze, że pan Terlecki polemizuje nieetycznie i pozbawiony jest poziomu naukowego. Natomiast pan Terlecki twierdzi, że to pan Iwanowski jest nieetyczny, ponieważ raz napisał, że pan Terlecki reprezentuje wysoki poziom naukowy, a w dwa tygodnie później, że niski, a poza tym w 1958 roku pisał zupełnie inaczej o bitwie o Monte Cassino, niż dzisiaj.

Lektura obu listów może stanowić — jak sądzę — doskonałą rozrywkę salonową, można je np. potraktować jako zagadkę — „Kto tu jest etyczny i na wysokim poziomie: pan pierwszy, czy pan drugi?" I wyznaczyć nawet nagrody.

Jeśli już przebywamy w wysokich sferach towarzyskich, gdzie mówi się o elegancji i błyszczą świetne nazwiska, warto zajrzeć do dwutygodnika „Prawo i życie". Jak wiadomo pismo to, zajmowało się nie tak dawno temu panem mecenasem Kettling-Szemleyem, nazywając go — kondotierem „Wolnej Europy". Czyn pana mecenasa bardzo mi się nie podoba, ale mówcie państwo co chcecie — nazwisko! Rany boskie, co to za nazwisko! Sienkiewiczowski bohater Kettling się kłania i jakiś węgierski hrabia dzięki temu „y" w Szemleyu. Tymczasem „Prawo i życie" budzi nas ze snu. W liście do redakcji czytamy, że mecenas, nazywał się illo tempore, kiedy jeszcze służył w Korpusie Kadetów we Lwowie, całkiem zwyczajnie — Jan Szemlij, a tę piękną resztę to sobie później dorobił.

Zgłaszam protest, Szemlij z wyrokiem to jednak nie to samo, co wyrok z pięknym nazwiskiem, takich listów do redakcji nie należy publikować. Odromantyczniają, prozaizują, poszarzają, no i glajchszaltują. Pozostaję z szacunkiem dla szanownej redakcji „Odgłosów".

Wiesławjaroszyński

KARIERA PO POLSKU

Dalszy ciąg ze str. 1

lić na luksus wyrzucenia nawet dwóch książeczek złota na bruk. Nie były potrzebne, bo Lubin nie miał już ochoty stawiać sobie nagrobka.

* * *

Lubin rozpoczął karierę, jaka nie ma chyba precedensu w Polsce ani w Europie ostatnich lat dziesięciu.

Lubin nie miał szczęścia przez całe wieki. Trudno wprawdzie uznać za dopust Boży sam fakt narodzin, co stało się za Bolesława Wysokiego, wnuka Krzywoustego, Piastowicza, obytego w świecie, który na italskich turniejach rozkładał olbrzymów na miecze. Ten właśnie Bolesław w 1170 roku postanowił wznieść zamek warowny — jak podają kroniki — na gruntach wsi Małomiedze.

Jest to zapewne fakt równie doniosły, jak ten, że w maju 1945 roku pojawili się tu panowie Czupiński, Rasała i Biały, w towarzystwie głównego pełnomocnika na okręg siódmy, czyli tymczasowego starosty lubińskiego, który pono się nazywał Garncarczyk. Zastali miłe, opuszczone miasteczko, w świeżej wiosennej zieleni, po którym chodzili sobie samopas obłąkani z miejscowego szpitala psychiatrycznego. Ekipa pionierska, która przybyła ciężarówką, pozbawioną hamulca i klaksonu, ale za to wyposażoną w wiktuały — 2 metry soli, 2 metry cukru, kartofle — oraz walutę, czyli 100 litrów wódki (bo w tym czasie gorzałka była obowiązującym ekwiwalentem przy wszelkich wymianach, zwanych dotychczas umownie handlem), zakwaterowała się w niepozornym domu przy ulicy Odrodzenia i zaczęła przygotowywać Lubin do przyjęcia osadników ze wschodu... Rasała, który z kieleckiej wsi wyemigrował na Zachód, zaczął wreszcie pobierać pensję: 6 litrów wódki na miesiąc. Gdy dostał pierwszy raz gotówkę — świeżo wydrukowane złote — zwitek banknotów ulokował pod łóżkiem i zapomniał. Aż przyjechała żona i znalazła: „To ty tak grosz szanujesz?!"

W roku 1319 Lubin otrzymał od księcia Jana Ścinawskiego prawa miejskie. W kilka lat później osiedla się tutaj książę Ludwik I, nie bardzo z własnej woli, tylko przez krewnych i braci „wyrolowany" srodze przy podziale ojcowizny. Chcąc nie chcąc doprowadza Lubin do tak zwanego rozkwitu, funduje kaplicę zamkową, szkołę parafialną, sprowadza uczonych mnichów. Jeden z nich, Mikołaj Pruzia w scriptorium zamku lubińskiego namalował cykl wspaniałych miniatur do legendy o św. Jadwidze, a drugi mnich, przepisując jakowyś łaciński kodeks, a będąc już srodze utrudzony, dodał pod koniec kilka słów: „Myla, Laszko, infunde mihi potum" — czyli miła Laszko (niektórzy odczytują: Maszko) naiej mi miodu. Są to jedne z pierwszych słów, zapisanych po polsku i to w czasach, kiedy monarchowie tak wielcy jak król Kazimierz Wielki bywali analfabetami... A z zapisu mnicha w Lubinie wynika niedwuznacznie, iż dziewka musiała być wyjątkowo piękna, skoro trafiła na karty kodeksu, tudzież miód polski też niepodły, skoro uczony mnich w swoim dziele polską mową się zdecydował jedno i drugie uczcić.

W 1945 roku przyjechał jeszcze Nojman z Krzemieńca, gdzie góra królowej Bony i Słowacki — ale Nojman trafił na wieś i został pierwszym sołtysem w Jakubowie.

„Tę pierwszą wiosnę pamiętam i będę pamiętał. Koni nie było i krów też nie było, do orki nam pożyczyli traktor. A potem zabrali sobie do powiatu. No i zabronować nie było jak, a tu strach — wiatr zboże zasiane zwieje, wróble wydziobią, myszy zjedzą... I tak dzień mija, wszyscy myślą, co robić. I po południu jak słońce zelżało — pojawiły się pierwsze brony, ciągnięte przez dzieci... Pod wieczór na wszystkich już polach jeździły brony, ciągnięte przez dzieci i dorosłych. Co miałem robić, jak reagować jako sołtys? Sam się do brony zaprzągłem..." — opowiada Nojman.

No, kariera sołtysa i jego wspomnienia to byłby osobny rozdział. Bandy chodziły, rabowały, podejrzane indywidua zajmowały się handlem, w dzień sprzedawano, nocą pod groźbą pistoletu odbierano — różnie w tych ciężkich czasach bywało.

Pokazują sobie jeszcze dziś w odpisach sprawozdania sołtysa z miejscowości N. z roku 1945:

Chałup	82
Chłopów	12
Babów	15
Dzieciów szkolnych naszych	7
Francuzów	1
Szwajcarów	3
Miemieckich rodzin	46
Miemczotek się urodziło	2
Zamazano napisów	1
Podpalono stodołę	1
Razem	170

„Inne żyjące stworzenia spiszę za dwa dni" — zapewniał sołtys.

Nie lepiej sprawował się starosta, który żył dobrze z radzieckim komendantem, pięknie mówił i naściągał do gabinetu góry klamotów — antyki, fortepian, lampy z wymyślnymi kolorowymi abażurami, kryształy. Wyglądało, jak w buduarze kokoty. Ale wkrótce znikły klamoty i starosta. Pożyczoną od komendanta radzieckiego ciężarówką Garncarczyk pojechał w niewiadomym kierunku i więcej już nie powrócił.

* * *

No cóż, egzystencja miasta nie opierała się na staroście. Uruchamiano fabrykę lutniczą — najpierw zaczęto od naprawy starych pianin i fortepianów, w dawnych warsztatach pana Gadebuscha, gdzie w czasie wojny zbijano skrzynki do amunicji. Szukano ciągle fachowców, pisano do Warszawy i Poznania, a tymczasem przyszło zamówienie na meble do 3 gabinetów ministerialnych. Zrobili. W 1949 roku doczekali się dwóch lutników z Poznania. Wówczas zrobili 16 sztuk skrzypiec. Teraz robią 7 tysięcy gitar, które idą na eksport do wszystkich niemal krajów Europy, nawet do Azji i do USA. Lubin ma największą fabrykę lutniczą w Europie po Leningradzie!

Fabryka zagospodarowała ulicę Odrodzenia, w czynie społecznym przebudowała ruderę na kino „Polonia" i tyle. Niewiele to pomogło. Gdy Nojman awansował na burmistrza, a było to z początkiem lat pięćdziesiątych, przyjechała ekipa z Warszawy. „Nic już z tego Lublina nie będzie. Siły miastotwórczej nie macie..." — powiedzieli magicy. Nojman nie chciał wierzyć w te siły miastotwórcze i pojechał z Rasałą do Warszawy się kłócić. Trafili aż do ministerstwa.

Stolica polskiej miedzi nie chce mieć kocich bruków. Zalewa je asfaltem.

* * *

Lubin nie miał szczęścia do historii, ale miał szczęście do miedzi. W roku 1423 książęta Ruprecht i Ludwik przyznali miastu prawo bicia własnej monety. A więc bito tu miedziaki — ani chybi. Różne są później dzieje miasta: tu toczy się spór linii Piastów lubińskich o sukcesję legnicką, tutaj przyjaciel Lutra, Kasper Schwenkfeld, głosi swoją naukę, po których to heretyckich sjestach kilkakrotnie nawracają zarazy, pochłaniając rekordowe ilości ofiar. Po zarazach przechodzą różne wojska, łupiąc i gwałcąc, przez sto lat z górą — po czym kroniki odnotowują, że miasto znowu ma 1.985 mieszkańców (rok 1748). W 1813 był tu car Aleksander w towarzystwie gen. Kutuzowa, w dwa lata później przejeżdżał przez miasto w towarzystwie księcia Wołkońskiego i hrabiego Yorku von Wartenberg, owacyjnie witany i żegnany. Zupełnie niezależnie od owacji w 50 lat później Lubin doczekał się dworca kolei żelaznej i gazowni, natomiast w roku 1896 powstała fabryka pianin.

W roku 1950, gdy Nojman walczył o prawo do miejskiego bruku, był jak spora wieś: 4 i pół tysiąca ludu. Teraz liczy ponad 15 tysięcy ludności, pono dochodzi już 16. Będzie: 70 tysięcy mieszkańców. To zawrotna kariera — od zdychającej mieściny do rzędu największych miast polskich, z etykietą stołeczności. Stolica polskiej miedzi. Śląska „Anaconda". Miedź jest potrzebna, bo przewodzi znakomicie prąd elektryczny; miedź jest potrzebna, bo wszystkich elektryzuje.

Nojman kierował do niedawna Zakładem Gospodarki Komunalnej i budował ów sławny dziś hotel „Kosmos", w którym urocza recepcjonistka, absolwentka liceum hotelarskiego z Legnicy, córka jednego ze speców z fabryki lutniczej — ergo: miała kilka lat, gdy przybyła do Lubina, czyta Konwickiego „Sennik współczesny" i to nie zwiedziona tytułem, ale smakuje w lekturze i dziwi mnie to, bo to bardzo ładna, młoda dziewczyna, recepcjonistka w hotelu i żeby intelektualne zainteresowania...

Czupiński był kilka razy chyba starostą lubińskim, potem rzucił funkcję, skończył studia prawnicze zaocznie i pracuje w Legnicy jako notariusz. On jeszcze wówczas nie wiedział o miedzi, kiedy zaczął trudem własnym modelować swój dalszy los, swoją karierę. Rozmawiałem z nim — na razie nie myśli o wiązaniu swoich losów z miedzianymi losami chociaż miał propozycję. Rasała, dziadek na emeryturze, siedzi sobie w hotelu robotniczym i rządzi. Znalazłem go dzięki inżynierowi Czachowskiemu, nowosądeczaninowi, potomkowi sławnego powstańca Czachowskiego z 1863 roku, autentycznemu krewnemu Chopina: siostry Krzyżanowskie wyszły za mąż — jedna za ojca Fryderyka, druga za Czachowskiego. A potomek powstańca prowadzi roboty górnicze przy wierceniu szybu kopalni Polkowice pod Lubinem. Pokolenia tej samej rodziny wychodzą zawsze na pierwszą linię. Koleje losu polskiego... Inżynier Czachowski ma jedną wielką słabość, która, niestety, nie jest narodową słabością: kocha poezję i czyta. I drugą, bardzo polską: zbiera znaczki, które w walizkach wozi ze sobą z budowy na budowę, gdzie go los rzuci. Przedtem budował kopalnie na Śląsku w ROW-ie...

* * *

Wszyscy pytają: a jak tam będzie z szybem Polkowice Główne? A jak z przydziałem mieszkań na ten kwartał? A jak długo będą przebudowywać ten rynek? A kiedy...

Tempo wściekłe. Jeszcze lat przecież sześć czy nawet pięć wiercono, aby dać dokumentację złoża. Wiercono szybko, ale pewnie starymi aparatami wiertniczymi, które dotąd brały głębokości 250 metrów — bo innych na razie pod ręką nie było — szło się na głębokości kilka razy większe. Ambicja, polska ambicja i spryt techniczny pozwoliły na takie cuda.

A teraz w zmaganiach z wodą, która niekiedy wytrysnąć potrafi z naszybu i wstrzymać roboty, w zmaganiach ze skałami — mimo wszystko święcimy sukcesy. W takim tempie budujemy, w takich warunkach geologicznych, o jakich może się przyśnić w najkoszmarniejszym śnie. I idzie.

Głębimy już korytarze i chodniki dwóch kopalni: Polkowice i Lubin.

Miasto Lubin rozświetliliśmy tysiącami świateł.

Wielka kariera...

Pośrodku rynku ostał się z zabytkowych budowli ratusz, a przydano mu nowoczesny, płaski pawilon restauracji, z ogródkiem wewnątrz, zepsutym kotletem i stosami papierosów „Pall — mall". 30 zetów za paczkę. Wiadomo, polski clondyke, poszukiwacze miedzi są traktowani jak poszukiwacze złota. Maja forsę! Za to nie mają pieczywa, bo dystrybucja nawala, a i piekarnia, którą przed paru laty uruchomili sami miedziowcy — już nie wystarcza. Jest więc burza w Komitecie Powiatowym — ludziom z pięknych bloków, ludziom których jest coraz więcej, z bloków, których jest coraz więcej — brakuje pieczywa. Przedstawiciele społecznego wypieku tłumaczą się gęsto u sekretarza KP, że myśl u nich nie lotna, mączna, ale znaczy się bez zaczynu i nie potrafili się przygotować... Jakże to polskie, jakże polskie... Tam rosną w dół, przebijając się przez wodniste warstwy iłów — szyby kopalń miedzi, zaangażowane są nie byle jakie siły techniki, wprzęgnięta siła mózgów ludzkich, wkalkulowany upór odkrywców, którzy już trzecim szybem dojeżdżają do złoża — a tutaj są kłopoty z głupim wypiekiem chleba!!!

* * *

Rynek w orgii kolorowych świateł. Ludzie w górniczych mundurach. Kobiety w drogich futrach przeskakują przez rozkopane znowu ulice. Wymienia się jakaś sieć. W ratuszu grają marsz weselny Mendelhsona. W wózku płacze małe dziecko o pomarszczonej, czerwonej buzi. W ratuszowej pija na zdrowie. Ktoś mówi: „Znowu musieliśmy cementować „szyb" — „Woda". Wciąż mają kłopoty na kopalni Lubin z wodą. Polkowice już ich wyprzedziły. Ktoś mówi cicho: „Ale w tej rudzie jest mnóstwo srebra. Za parę lat wszędzie będą podawać na srebrnych tacach".

Za parę lat wyrosło miasto jak z bajki, za parę lat będziemy miedziową potęgą. Cóż to jest w gruncie rzeczy parę lat — wobec tylu lat dziejów Lubina, w których jak dotąd niewiele wydarzyć się mogło i chciało.

JANUSZ ROSZKO

TAJEMNICE KURHANÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

miejscu odkrycia żaden ślad. Bodaj to mieć do czynienia z piramidami! Te potrafią się zaprezentować bez wystawowej witryny!

Trafiają się jednak i u nas pradziejowe obiekty bardziej okazałej struktury, które choć nie są piramidami, mogą przemówić do wyobraźni widza bez muzealnej oprawy. Należą tu przede wszystkim grodziska, należą kujawskie „żalki", o których pisałem już swego czasu na łamach „Odgłosów", należą wreszcie kurhany.

Kurhanem nazywają archeolodzy usypany ponad grobem kopiec z ziemi lub kamieni. Różne bywają jego wielkości, od drobnych kopczyków nie przekraczających wysokością kilkudziesięciu centymetrów, aż do imponujących konstrukcji, które mimo niszczącego działania czasu do dziś widnieją w krajobrazie jako wydatne wzniesienia. Województwo łódzkie niezbyt obfituje w te ciekawe pomniki pradziejów. Niegdyś było ich tu z pewnością znacznie więcej, ale większość z nich padła już ofiarą gospodarki ludzkiej. Całe wieki orki, robót ziemnych, poszukiwania kamienia na budowy, spowodowały zagładę niejednego kurhanu. I dziś jeszcze mimo ustaw o ochronie zabytków, mimo czujności władz konserwatorskich trafiają się wypadki niszczenia kurhanowych kopców, spowodowane rzadziej złą wolą, znacznie częściej — niewiedzą ludzką. Niewiedzy też zawdzięczać trzeba, że dobrze zachowane, albo też starannie (po uprzednim zbadaniu) zrekonstruowane kurhany, czy nawet całe ich zespoły pozostają nieznane społeczeństwu, że o tych ciekawych obiektach milczą przewodniki krajoznawcze, nie uwzględniają ich turystyczne mapy regionu, nie tak znów obfitującego w zabytki historyczne i w malownicze „dziwy natury".

Tuż przy zachodnich krańcach łódzkiego województwa, między Sieradzem a Błaszkami rozsiadło się największe z naszych cmentarzysk kurhanowych. W r. 1946 ekspedycja ówczesnego Muzeum Prehistorycznego w Łodzi (dziś Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne) zbadała 25 kopców rozsianych ponad rzeczką Cienią. Wraz z dwoma dawniej już rozkopanymi mamy tu zatem wcale znaczną grupę 27 nasypów grobowych. Ponieważ po ukończeniu prac archeologicznych wszystkie kurhany usypano na nowo i to w postaci możliwie zbliżonej do ich pierwotnego wyglądu z przedwieków, całość przedstawia się ciekawie i na pewno zasługuje na odwiedzenie w czasie niedzielnej wycieczki.

Kurhany łubieńskie powstały w wiekach odległych, gdzieś w piętnastym stuleciu p.n.e., liczą sobie zatem około 3.500 lat. Zbudował je lud tzw. kultury trzcinieckiej, którą z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy uważać za ważny składnik późniejszych Słowian. Bytowała ona na naszych ziemiach w początku epoki brązu, kiedy tradycyjne, z krzemienia wyrabiane narzędzia, poczęły ustępować przed sprowadzanym z południa nowatorskim metalem. Zawartość kurhanów w Łubnej stanowi wierne odbicie tego procesu; znalezione w nich groty strzał, przeznaczone do masowego użytku i narażone na łatwe zagubienie — są krzemienne. Ozdobne szpile i wisiorki oraz cenniejsza broń reprezentowana przez piękny sztylet — to już wyroby brązowe, zapowiadające nadejście nowych czasów.

Te które mijały, każą się ludziom dzisiejszym zastanowić nad dziwną treścią ówczesnych zwyczajów. Sam fakt budowy kurhanów nie jest dla nas niczym niezwykłym. W końcu i my staramy się wyróżnić, upamiętnić miejsca spoczynku naszych bliskich, wznosząc nagrobki i pomniki. Ale w Łubnej często napotykaliśmy na ślady kilku szkieletów pod jednym i tym samym kurhanem. Czasem zmarli leżeli tam w parach, zwróceni ku sobie zgiętymi nogami. Nie ulega wątpliwości, że chowano ich jednocześnie i wszystko zdaje się wskazywać, iż właściwemu lokatorowi kurhanu towarzyszył na tamten świat ktoś drugi. Współmałżonek? Sługa? Czy towarzyszył z dobrej woli, czy też pod przymusem? Nie musiał być to zresztą przymus w dosłownym znaczeniu, mogła wystarczać presja opinii publicznej, niesłychanie silna w społeczeństwach pierwotnych, akurat odwrotnie jak to sobie często wyobrażamy. Tak, tak „dobre stare czasy" miewały też uroki bardzo wątpliwego gatunku. Odsłaniając ich tajemnice archeolodzy raz po raz natrafiają na zjawiska prawdziwie mroczne i to nie tylko ze względu na okrywający je mrok dziejów... Nasi odległi przodkowie wydają nam się wówczas dziwnie dalecy, niezrozumiali, obcy...

Bywa odwrotnie. Najokazalszy z łubieńskich kurhanów krył w swym wnętrzu jednego tylko zmarłego. Wyposażenie grobu w pełni odpowiadało okazałym rozmiarom nasypu. Znaleziono tu dwie szpile z brązu, małą bransoletkę z tego samego metalu, a wreszcie — wielka to rzadkość na polskiej ziemi! — trzy pierścienie ze złotego drutu, przeznaczone do wplatania we włosy. Po samej posiadaczce tej biżuterii pozostał jeden tylko jedyny ślad... okruchy szkliwa z mlecznego, dziecinnego ząbka, ślad świetnie godzący się z miniaturowym rozmiarem bransoletki.

Rodzice zmarłej dziewczyneczki zajmowali na pewno poważne miejsce w swojej społeczności, nie to jednak wydaje się najważniejsze. Nie znamy, oczywiście, w całej pełni pobudek jakimi się kierowali, ale wolno nam się ich domyślić. Wolno sądzić, że rozrzutność jaką okazali składając w ziemi tak cenne skarby, płynęła z żalu po stracie skarbu najcenniejszego — dziecka. A takie pobudki nie są już nam ani obce, ani niezrozumiałe, ani dalekie.

ANDRZEJ NADOLSKI

JAN BĄBIŃSKI

RUMAKI PANI WALEWSKIEJ

To jedna z owych prześlicznych dróg łowickich. Twarda, równa, okolona wysokimi topolami. Po obu jej stronach żyzne pola, na horyzoncie zabudowania. Jeszcze jeden zakręt i roztoczył się widok jak ze średniowiecznych sztychów. Takiego widoku nie zapomina się. Szeroka droga wysadzona potężnymi akacjami wiodła wprost do dawnej siedziby pani Walewskiej. Harmonijne, pełne symetrii i klasycznej prostoty linie środkowego budynku zawsze wywołują zadumę... „Walewski Aleksander — Józef Colonna, ur. 4 maja 1810 r. w Walewicach, syn Napoleona I i pani Walewskiej z Łęczyńskich. Późniejszy ambasador francuski w Anglii, minister spraw zagranicznych...".

Pałac lśnił bielą swych murów, jaśniał kolumnami, złocił się w słońcu tak modnymi wówczas posągami nimf i wiotkich, wdzięcznych efebów. Mogło się zdawać, że lada moment prześliczna pani Walewska zbiegnie lekko w dół, po szerokich schodach i powie z uśmiechem:

— Bonjour, monsieur — czym mogę służyć?....

Złudzenie, majaki... — od pałacu wiało spokojem i ciszą.

Do uszu dochodził tylko daleki tupot koni. Jeden z rumaków oderwał się od stada. Pokłusował w naszą stronę. Wreszcie przystanął tuż obok i teraz dopiero radośnie zarżał. To rżenie można by było wziąć za uprzejme powitanie. Koń zawrócił i ruszył przed siebie najwidoczniej w nadziei, że to głupie bydlę na czterech kołach, którym przyjechałem, podąży za nim.

Ten pierwszy walewicki rumak, który poruszał się wśród zabudowań ze swobodą młodego dżentelmena, zastanowił mnie.

Czyżby te wszystkie dykteryjki, anegdotki o końskim rozumie i sprycie należało brać dosłownie? Usiadłem w gronie walewickich masztalerzy. Wszystko stare, doświadczone wygi. Zaczęli opowiadać o siwkach, które przepadały za zimnym piwem i o klaczy „Boniwerze", która wyjmowała panienkom cukierki z torebek. Czy jednak konie są mądre? Jak to się dzieje, że klacz rozpozna swego pana nawet po kilkunastu latach? Czym wytłumaczyć, że koń nigdy nie zmyli drogi? Wystarczy, że tylko raz przejdzie wiejskim traktem i już nigdy nie zgubi kierunku. Śpij spokojnie. Wierny rumak poniesie cię pod sam próg twego domu.

Masztalerze mają co do tego wyrobione zdanie.

Koń widzi wszystko, koń jest mądry...

Niech tylko pojawi się obcy w pobliżu, a zwierzę już grzebie nogą i rozgląda się nerwowo na wszystkie strony. Panie, konie bywają różne — jak ludzie. Spokojne i trudne, posłuszne i uparte. Nie ma dwóch jednakowych koni. Wszystkie odróżnią już z daleka przyjaciela od wroga. Panie, konia oszukać się nie da. Wie co mu się należy — o której godzinie. Ta kasztanka, co stoi w pierwszym boksie, no ta z białą plamą, ona jucha na pamięć wie, kiedy zegar wskazuje południe, a kiedy pora na wieczerzę...

Koń ma zegarek w głowie — wszyscy starzy masztalerze z Walewic byli co do tego święcie przekonani.

Przypuśćmy. Czy jednak tak zwana wrodzona mądrość konia nie jest mimo wszystko wytworem bujnej wyobraźni?

Swego czasu światową sławę zyskał „Kluge Hans" — mądry Jasio, ogier ze stajni von Ostena w Berlinie. Von Osten był absolutnie pewny, że jego Hans potrafi rachować jak człowiek. — Mój ogier — wołał von Osten — umie nie tylko dodawać i odejmować, ale też mnożyć i dzielić. — To przeświadczenie udzieliło się też innym. Urządzono zbiorowe pokazy. Do berlińskiej stajni przybywali tłumnie miłośnicy z wielu krajów — głównie anglosaskich. Koń, który rachuje? Czy to nie banialuki?

Sława ogiera stała się tak niepokojąca, że Jasiem zajęli się naukowcy.

Początkowo komisja rzeczoznawców znalazła się w opałach. Mądry Jasio bez żadnej pomyłki rozwiązywał najtrudniejsze mnożenia Jaki szyfr był tu stosowany? Jakie sztuczki? Profesorowie podejrzewali, że treser daje ogierowi jakieś ukryte znaki. Polecono więc, by stanął z tyłu konia. Mądry Jasio wcale tym niezrażony rozwiązywał zadania w dalszym ciągu bez pudła. Rzecz wydała się nieprawdopodobna. Czyżby naprawdę miano do czynienia z jakimś niezwykłym fenomenem natury? Szalbierstwa przecież nie było. Zachowanie się ogiera, właściciela stajni i tresera było skrupulatnie obserwowane przez grono wybitnych specjalistów.

Próby ponawiano bez końca.

Wreszcie szydło wylazło. „Hans" odznaczał się jak kot niesamowitą spostrzegawczością. Orientował się, kiedy należy zaprzestać tupania po wyrazie twarzy tresera. Ogier reagował na nieuchwytne dla ludzkiego oka zmiany w mimice tresera. Jakże to, przecież treser stał z tyłu. Nie mierzmy zwierząt ludzką miarą. Oczy konia wystają. Skierowane są na boki. Koń widzi nimi również to, co dzieje się poza nim, więc z tyłu. Te wypukłe, bardzo błyszczące oczy są jedną z cech wierzchowców czystej krwi arabskiej.

Jakie konie hoduje się w Walewicach?

Przede wszystkim tak zwane anglo-araby. Walewickie konie są już znane na wszystkich kontynentach. Sprzedawane są do Meksyku, Indii, Kanady, Szwajcarii, Szwecji, Włoch i do wielu, wielu innych krajów. Są tak wartościowe, że kupcom opłaca się je przewozić przez oba oceany. To są wspaniałe konie. Za klacz „Boniwerę" zapłacono 5 tysięcy dolarów. A potem przysłano zza oceanu wzruszający list z podziękowaniami. Jedna walewicka klacz jest warta 2 mercedesów. No, cóż, konie to my już umiemy hodować. Sentyment do ognistych rumaków zawsze odezwie się w polskiej krwi. Odezwał się w dzisiejszych czasach, które zdaniem „speców rzekomych", miały raz na zawsze przypieczętować los polskiego konia. Nonsens.

Dobry, rasowy koń jest dziś tak samo poszukiwany na wszystkich kontynentach jak 100 czy 200 lat temu.

Może nawet jest bardziej poszukiwany. Człowiek instynktownie broni się przed hegemonią maszyn. W konnej jeździe upatruje jedną z odtrutek na tyranię technokracji. Jazda na rasowej klaczy należy dziś do dobrego tonu. Co tydzień jeździ konno prezydent Johnson w swym ranczo. Jedną z najlepszych amazonek Ameryki jest pani Kennedy. Bez konia nie wyobraża socie życia 900 angielskich lordów. W ogóle jest nawrót do przedpotopowych „Fordów" i rączych rumaków. Nie autem możesz dziś imponować na Zachodzie, autem jeżdżą ślusarze do pracy — ale koniem. Jeśli masz stajnię, to znaczy, że się liczysz, że jesteś kimś.

Walewickie klacze są cudowne.

Staroarabski werset głosi, że szlachetny, dobrze urodzony wierzchowiec musi „postawą przypominać wielbłąda, wilka i gołębia, musi mieć odwagę dzika, wdzięk i oko gazeli, wesołość i roztropność antylopy, szybkość strusia i wytrwałość muła"... Wydaje się, że wszystkie te cechy posiadły właśnie walewickie rumaki. Nie przypadkiem wzięły barierę celną nawet do arabskiego Egiptu. Dlatego wzięły, że są bardzo wszechstronne.

Masztalerze powiedzieli:

— Nasze konie są dobre na podwody i dla wojewody.

Potem uzupełnili:

— Anglo-araby są jednak nerwowe. Jak je nie wyprowadzić na spacer, to od razu smutnieją, tracą na wadze. Po tygodniu są do niczego... Myślą, że już o nich zapomniano. Bardzo to przeżywają...

Czyżby życie psychiczne zwierząt było bogatsze niż sądzimy?

Niezwykle ciekawe są wyniki doświadczeń podejmowanych od pewnego czasu w ogrodach zoologicznych. Zwierzęta żyjące w stadzie instynktownie uznają tak zwanego prowodyra, który sprawuje funkcje wodzowskie. W jednym z amerykańskich ogrodów takiego prowodyra oddzielono od małpiego stada i umieszczono w osobnej klatce. Jedzenie podawano wpierw szympansom w stadzie. Prowodyr był wściekły i zrozpaczony. Przyglądał się bezsilnie, jak jego podwładni zajadają się do syta, podczas gdy on sam pozostawał głodny, choć dotychczas zawsze korzystał z prawa pierwszeństwa. Otrzymywał teraz ochłapy, zawsze z ogromnym opóźnieniem. Zawsze jako ostatni.

Naukowcy chcieli zbadać, jak utrata kierowniczego stanowiska działa na system nerwowy szympansa.

Doktor A. Korda, opisując to doświadczenie podaje, że małpa-prowodyr zmarła po kilku tygodniach na zawał serca. To daje do myślenia. Czyż zawały serca nie trafiają się najczęściej, jeśli nie wyłącznie, u ludzi znajdujących się w stanie wyczerpania nerwowego? Czy też dużego napięcia — stressu — jak mawiają uczeni? Mechanizm, od którego zależy równowaga psychiczna zdaje się wisieć u zwierząt na tak samo cienkim sznureczku, jak u ludzi. W każdym razie na podobnym.

Walewicka klacz czuje się głęboko dotknięta już wtedy, gdy się zapomni wyprowadzić ją na poranny spacer. Traci humor. Chudnie, jej wartość gwałtownie spada. Więc masztalerze o spacerze nie zapominają. Tu chodzi o dolary. Bardzo ciężkie. Jakże przy tym potrzebne. Trzymaj się szewcze kopyta! Bo „Syrenki" i te niby ulepszone „Warszawy" jakoś nam nie wychodzą. Sarmacki indywidualizm nie pozwala nadwiślańskim monterom tak dokręcić każdą śrubę, jak każe przepis. To nie honor. Wybujała fantazja nie pozwala nam trzymać się ślepo jakichś tam rysunków. Nie szkodzi, że krzywo... Jest indywidualny wkład, czy go nie ma? Nie znamy się na robocie według schematu.

Za to znamy się na koniach — jeszcze jak. Znamy się na nich tak samo dobrze jak pani Walewska.

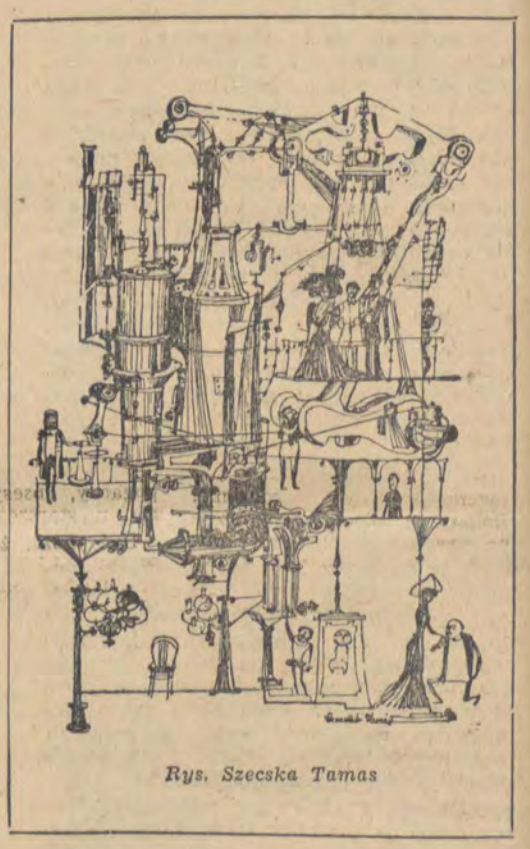

Rys. Szecska Tamas

ANDRZEJ MAKOWIECKI

TESKNOTA

Deszcze spadły tego roku wcześnie, w drugiej połowie lutego. — Sczerniały śnieg pod ścianami zaczął tajać. Na placu dużo jest błota i wody brudnej, ustałej w kałużach, częściowo tylko wpływającej rynsztokami.

Domy przez mgłę wyglądają smutno — jak koszary, albo jak bloki na przedmieściach dużych miast, albo jak osady fabryczne budowane przed wojną. — Zetknięte szczerbatymi ścianami i skrajem płaskich dachów — otaczają plac murem równym, jednostajnie szarym, jednakowo ze wszech stron wysokim...

1.

Więzienie — myśli.

Idzie wolno przez mgłę i deszcz, wskroś błota i kałuże brudnej wody. Mija ludzi, których zna na pamięć, i poszczególne fragmenty placu. Pasmanteria, zakład z trumnami, kościół wtopiony barwą i rozmiarem w jednostajna ciągłość murów, pomnik ku czci poległych bohaterów i bar otwierany właśnie, pod którym człowiek zgarbiony niecierpliwie przełyka ślinę. Oczy pijaka sa nieprzytomne i opuchnięte od snu. Na płaszczu widać ślady błota. Na szyi długa czerwona prega.

— Zrób — mamrocze przygarbiony strzęp. — Zrób, mamrocze przygarbiony strzęp. — Zrób, synku... jedną lufę... wieczorem ja postawię...

Dno — myśli.

Strzęp został z tyłu z błagalnie wyciągniętą ręką; zaraz zaczepi innego; w końcu ktoś mu postawi i wtedy nerwowa wibracja palców ustanie.

2.

Ze stanowiska trzeciego leniwie rusza niebieski PKS. Przy wylocie z placu strzela spalinami i wrony na przymglonych dachach zaczynaja krakać.

Na stanowisku czwartym ludzie szturmują drzwi autokaru. Konduktor kryje twarz za podwójna garda. Krzyczy:

— Powoli, jasna cholera, powoli!...

Cofa się pod naporem tłumu i opuszcza ręce: już mu wszystko jedno.

Na stanowisku pierwszym autobusu jeszcze nie ma, ale ludzie szykuja się do szturmu. To na Wrocław. Z miejscami będzie krucho. Kandydatów do podróży jest wielu. Na razie stoją zgodnie, ale mięśnie są napięte, wyczuwa się podniecenie. Rozmawiają o pogodzie, jedna z druga wymienia parę zdań, jeden drugiemu podaje ognia. Potem jednak konwenanse pójdę na bok. Rozegra się krótka i nieubłagana walka.

3.

Kasy biletowe i poczekalnia stoja na tym placu pomiędzy garmażernią a sklepem z prywatną tandetą. Dobry to punkt handlowy. Ludzie czekający na autobus chętnie kupują koncentraty i krawaty na gumkę, dorsze obłożone tartą bułką i rewolwerowe zapalniczki. Degustacja i przymiarka zakupionych towarów odbywa się w poczekalni. Jakaś babina kroi nożem puszkę z konserwami; zajada łapczywie, niepomna na tłuszcz, który kapie z brody i wsiąka w wełniana chuścinę. Jakiś elegant z Opocz na, bawiacy w miasteczku tranzytem, zatyka na małym palcu lewej ręki sygnet złoty z rubinowym szkiełkiem. Spogląda na to cudo wprost, potem z ukosa mrużąc oczy, potem z bliska i z daleka, i jeszcze raz z bliska.

To jest brzydkie, boleśnie brzydkie — myśli patrząc na twarz eleganta. Odwraca wzrok i szuka wolnego miejsca, ale ławy pod ścianami są zajęte, obciążone do granic pęknięcia.

4.

Rysopis:

Wysoki, szczupły, bez znaków szczególnych, włosy ciemne, długie — ale nieprzesadnie, na kołnierz płaszcza nie wchodzą a z czoła spadaja prosto, loczków beatlesowskich brak; oczy jasne, bardziej zielone chyba niż niebieskie. Spod płaszcza — koszulka polo Made in Polska, cena: 250; spodnie z elany — rozszerzane u dołu, ale nie bardzo — i buty kręgłonose, zamszowe, po 160 złotych para.

Życiorys:

Urodził się w małym miasteczku województwa łódzkiego. Ojca miał urzędnika, a matki nie pamięta, bo odumarła go w dzieciństwie. Szkołę podstawowa numer 1 ukończył z wynikiem dostatecznym. Z technikum ekonomicznego przy ulicy Tytusa Brandego zrezygnował po trzech latach nauki. Pracował jako robotnik niewykwalifikowany w zakładzie farbiarskim i jako działacz sportowy w miejscowym RKS. W 1962 roku zajął czwarte miejsce w turnieju ping-pongowym o mistrzostwo powiatu. W 1963 roku, w meczu z KS-Błysk, przegrał z leworskim juniorem, i wycofał się z czynnego życia sportowego. Za granicę powiatu nie wyjeżdżał, karany sądownie nie był, odkad zrezygnował z pracy — jest na utrzymaniu ojca.

Obecnie:

Ma 24 lata. Wódkę pije rzadko, wina w ogóle. Dziewczyny nie posiada, śmieszą go miejscowe siusiumajtki. Przyjaciół?... tak, byli tacy kiedyś... Przyjeżdżają do miasteczka czasami...

Jego hobby to film i...

I poczekalnia PKS.

5.

Przychodzi tu codziennie. Już od paru lat. Odkąd pracować przestał i grywać w ping-ponga.

Mieszka niedaleko, naprzeciw, tak, że z okien swoich widzi poczekalnię doskonale. Widzi także plac niewielki, szarym murem otoczony, i cztery stanowiska PKS. To właśnie przez szybę zapatrzył się na autobusy. Zaczęło go ciągnąć. Niepokoić. Podniecać...

W domu wszystko wydaje się proste. Wystarczy wyjąć ze schowka pieniądze, trochę ciułanego miesiącami grosza, napisać kartkę do ojca: tak i tak, mam już tego dosyć, zresztą nie chcę siedzieć ci na głowie... zejść ze schodów, przejść po raz ostatni obok pasmanterii, zakładu z trumnami, kościółka, minąć pomnik bohaterów wojennych i bar, pod którym pijak przygarbiony wyciąga rękę po datki, kupić bilet w kasie, wsiąść w autobus i w świat...

W domu wszystko wydaje się proste. Dopiero tam, w poczekalni, rodzą się zwątpienia i niepokój. Ile to razy stał już w kolejce. Ile razy kupił bilet. Ile tras już wybierał.

Dzisiaj — myśli. — Z miejsca. Jak stoję. — Ale wie, że tego nie zrobi. — Dlaczego, cholera? Mógłbym przecież pracować. Forsy na hotel starczy. Wielkie miasto, o szczęście nietrudno. — Robi krok w kierunku kasy i serce przekręca się w nim z przerażenia. Nie ma miejsca w hotelach, noce zimne, ludzie... setki tysięcy ludzi, obcych, obojętnych...

Tymczasem zwalniaja sie ławki pod ścianą. Nogi podróżnych skrzypią nieprzyjemnie po kamiennej posadzce, zmierzają do wyjścia.

— Na Łódź cheba — mówi kobiecina z pustą puszka po konserwie w dłoni.

— A jakże, a jakże — przytwierdza energicznie konduktor.

Łódź — myśli. Siada w rogu pod piecem i zapala papierosa. — Mógłbym przecież do Łodzi. 60 kilometrów. Nic wielkiego. Przejazd tani jak barszcz: niecałe 20 złotych. I zawsze można wrócić, choćby dzisiaj, choćby jeszcze przed nocą. — Wywo-

BARBARA WACHOWSKA

FRONT JEDNOLITY BARDZIEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK

W latach 1934—1935 w przemyśle Łodzi i okręgu uwidaczniała się powolna i pełna wahań poprawa koniunktury. Nie oznaczała ona jednakże polepszenia warunków materialnych ludności pracującej. Wyrazem tego były wysokie liczby bezrobotnych notowane przez Wojewódzkie Biuro Funduszu Pracy. Na dzień 22 lutego 1936 r. zarejestrowało ono w Łodzi i okręgu 68.835 osób poszukujących pracy.

Sam ówczesny wojewoda łódzki Aleksander Hauke-Nowak stwierdził, że nadal trwające bezrobocie rodziło „ogólną biedę zarówno na wsi wśród bezrolnych i małorolnych, jak i wśród warstw robotniczych we wszystkich ośrodkach przemysłowych". Obok bezrobocia, ciężkie położenie proletariatu potęgowało łamanie przez przemysłowców obowiązujących ustaw socjalnych oraz poszczególnych postanowień wywalczonego 4. IV. 1933 r. przez włókniarzy łódzkich układu zbiorowego.

Z niepokojem pisała o tym prasa lokalna, która stwierdzała systematyczne pomijanie przepisów ustaw ochronnych o czasie pracy, o urlopach, o wynagrodzeniu za godziny nadliczbowe, spostrzegała zwiększanie ilości maszyn przypadających do obsługi na jednego robotnika, nieuznawanie delegatów fabrycznych, odmowy udzielania urlopów itp. zaznaczając przy tym, że w Łodzi i okręgu nie było prawie zakładu przemysłowego, w którym układ zbiorowy z 1933 r. byłby dotrzymywany.

Na tym tle w setkach fabryk rodziły się spory, narastały konflikty, wybuchały zatargi. Inspektorzy pracy, usiłując rozładować nabrzmiewanie fermentu wśród robotników, setki spraw kierowali do sądu okręgowego. Ukarani przemysłowcy nie wiele sobie jednak z wyroków sądu robili, głównie dlatego, że wyroki w niewielkim tylko procencie były egzekwowane a także dlatego, że w wypadku nieuniknionej egzekucji opłaciło im się płacić grzywnę i dalej łamać prawo...

Robotnicy więc podejmowali strajki. Akcje strajkowe miały przeważnie charakter okupacyjny, gdyż jedynie okupowanie przez robotników zakładów pracy stwarzało im największe szanse skuteczności walki, co także potwierdzało doświadczenie zdobyte przez proletariat łódzki w latach ciężkiego kryzysu ekonomicznego 1929—1933.

Jednakże i ta tak ostra broń okazała się niewystarczająca wówczas, gdy pod koniec 1935 r. nasilające się wykroczenia fabrykantów łódzkich zaczęły ujawniać tendencję przemysłowców do utrwalenia takiego postępowania jako obowiązującego systemu w stosunkach między proletariatem i burżuazją. Wyłaniać się poczęła wówczas konieczność zorganizowania równoczesnej i skoordynowanej walki we wszystkich zakładach przemysłowych i okręgu tj. konieczność strajku powszechnego. Jednocześnie, w warunkach zwierania się, mimo wewnętrznych i dość istotnych różnic pomiędzy poszczególnymi grupami przemysłu, ogólnoburżuazyjnego frontu walki przeciw klasie robotniczej, życie wysuwało jako kwestię naczelną — jednolity front całego proletariatu.

Pierwsi, którzy dostrzegli taką potrzebę i otwarcie przedłożyli ją robotnikom byli komuniści. Po raz pierwszy rzucili oni hasło jednofrontowego strajku powszechnego. 2 października 1935 r. na konferencji delegatów klasowego związku włókniarzy spotkało się ono z żywym oddźwiękiem proletariatu. Za zorganizowaniem strajku opowiedzieli się rychło członkowie wszystkich związków zawodowych włókniarzy. Pod naporem ich żądań sprawę tę poczęły rozważać kierownictwa związku klasowego, związku zawodowego „Praca", chrześcijańskiego, a także sanacyjnego ZZZ i endeckiego Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. W grudniu 1935 r. w poszczególnych związkach zawodowych odbyło się szereg zebrań, narad i konferencji, które wyraźnie unaoczniły przywódcom nastroje robotników i ich dążenia do jednolitofrontowego strajku.

Pierwsze spotkanie nastąpiło 26 grudnia 1935 r. Byli na nim obecni przewodniczący Zarządu Głównego Związku Klasowego Włókniarzy Antoni Szczerkowski i sekretarz zarządu Adam Walczak, a delegacji KPP przewodził Mieczysław Zdziechowski. Powtórna rozmowa odbyła się 4 stycznia 1936 r., następna w trzy dni później. Z inicjatywy komitetów i za aprobatą kierownictwa związku klasowego zaczęła działać Komisja Międzyzwiązkowa. Reprezentowała ona wobec przemysłowców wszystkie odłamy polityczne i związkowe robotników. Idea jednolitego frontu, której z takim uporem i konsekwencją patronowali komuniści, zaczęła zwyciężać. W 1936 r. w Łodzi nie było to już tak trudne do przeprowadzenia, choć w poprzednich kilkudziesięciu latach między partiami nagromadziło się wiele wzajemnej nieufności, podejrzliwości czy wręcz wrogości. Wiele wspólnych walk prowadzonych w mniej sprzyjającym klimacie przesłaniało w poważnym stopniu te wewnętrzne opory, a sukcesy wielkich politycznych kampanii w 1935 r. (jak np. bojkot wyborów do Sejmu we wrześniu) ukazało siłę jednolitego frontu robotniczego, do którego zresztą niejednokrotnie przedtem lgnęli robotnicy łódzcy, kierowani siłą instynktu klasowego i doświadczeniami życia społecznego, często wbrew postawie swych partyjnych przywódców.

Na znacznie większe trudności napotykała propozycja KPP dotycząca rodzaju i formy strajku. Wspólne rozmowy ujawniły dwie odmienne koncepcje strajku: komuniści opowiedzieli się za strajkiem powszechnym w całym łódzkim przemyśle włókienniczym, zaś przywódcy pozostałych związków zawodowych byli za strajkiem tylko w tych fabrykach, które nie podpisały układu zbiorowego i w tych, które go jawnie naruszały. Komuniści łódzcy twierdzili, że z takiego strajku fabrykanci mogą sobie drwić, gdyż wprawdzie co do liczby fabryk, objąłby on ich znaczną większość, ale dotyczyłby zaledwie 15—20% włókniarzy, bowiem w głównym stopniu miałby miejsce w drobnych zakładach włókienniczych, nie chcąc jednak przeciągać i zaogniać sporów zgodzili się na propozycje kierownictw związków zawodowych, apelując do nich, by jeśli zajdzie tego potrzeba w odpowiednim momencie solidarnie rzucili hasło strajku powszechnego.

Obawy komunistów co do niewielkiej skuteczności takiego strajku okazały się słuszne. Potwierdziło je jeszcze przed strajkiem zachowanie fabrykantów. Gdy 1 lutego 1936 r. Komisja Międzyzwiązkowa w imieniu pięciu związków zawodowych włókniarzy wystosowała list do wszystkich zrzeszeń przemysłowych, grożąc, w razie nie podjęcia przez nich rozmów, częściowym strajkiem, przemysł zbojkotował te propozycje uznając konferencje za bezprzedmiotowe. Przemysłowcy pewni siebie zachowywali się wręcz prowokacyjnie, odrzucając wszystkie kolejne propozycje rozmów. KPP uznała, że fabrykanci dali wystarczające dowody, by zrewidować przyjętą koncepcję strajku. Opinia jej jednakże nie została uwzględniona i 26 lutego 1936 r. na zebraniu delegatów fabrycznych zapadła uchwała podjęcia strajku z dniem 3 marca w tych fabrykach, które nie podpisały i nie honorowały układu zbiorowego.

W tych warunkach strajk rozwijał się nieśmiało i powoli. Pierwszego dnia zastrajkowało 4.500 robotników, drugiego — 8.000, trzeciego 12.000 włókniarzy. Przemysłowcy w dalszym ciągu ignorowali propozycje prowadzenia rozmów i mediacji a rola inspektora pracy, jak sam o tym mówił, sprowadzała się jedynie do obserwacji. Wówczas dopiero przywódcy związkowi zgodzili się z koncepcją strajku powszechnego, którego zresztą robotnicy poczęli się domagać od pierwszego dnia walki. 4 marca w lokalu Okręgowej Komisji Związków Zawodowych (OKZZ) przy ul. Narutowicza 50, odbyła się konferencja kierownictw pięciu związków włókniarzy, która „ze względu na nieustępliwe stanowisko przemysłowców" podjęła decyzję rozpoczęcia z dniem 6 marca strajku powszechnego.

Walka nabrała rumieńców i rozmachu. Już 6 marca rano strajkowało w Łodzi 30.000 robotników. Strajk szybko począł ogarniać okręg. Stanęły zakłady w Tomaszowie Maz., Piotrkowie, Zgierzu, Pabianicach, Rudzie Pabianickiej, Zduńskiej Woli, Konstantynowie, Zelowie, Ozorkowie, Bełchatowie, Moszczenicy. Za koniecznością włączania się do strajku opowiedzieli się pończosznicy, dziewiarze, jedwabnicy, tkacze chałupnicy, robotnicy sezonowi, robotnicy przemysłu spożywczego, zastrajkowali szewcy, robotnicy garbarni. W niedługim czasie strajk ogarnął 130.000 osób; jak go określiła prasa „stał się pierwszą w Łodzi od dłuższego już czasu akcją na tak szeroką skalę". Zainteresowały się nim władze administracji państwowej, minister opieki społecznej Władysław Jaszczołt, główny inspektor pracy Marian Klott, którzy w obawie przed rozlaniem się strajku na cały kraj, poczęli wywierać nacisk na fabrykantów, by zmusić ich do podjęcia rozmów i ustępstw. Jednocześnie z inspiracji komunistów zarząd główny Klasowego Związku Włókniarzy podjął decyzję przeprowadzenia ogólnopolskiego strajku włókniarzy, a więc włączenia do walki robotników Bielska, Częstochowy, Żyrardowa, Białegostoku. Fabrykanci przerażili się wówczas, zorientowali się, że robotnicy z pewnością zrealizują groźbę i nie chcąc przeciągać struny 15 marca w W-wie zgodzili się na podpisanie protokołu likwidującego strajk.

Strajk zakończył się zwycięstwem robotników. Przemysłowcy zobowiązali się przestrzegać warunków układu zbiorowego z 1933 r., nie przeprowadzać racjonalizacji bez udoskonaleń technicznych, określić ilość maszyn przypadającą do obsługi na jednego robotnika, wywiesić w fabrykach tabelę stawek cennikowych, płacić za postoje, przestrzegać 6-godzinnego dnia pracy w sobotę, przepisów dotyczących urlopów, przestrzegać postanowień dotyczących delegatów robotniczych i wreszcie nie prześladować nikogo za udział w strajku. Tak więc konsekwentna jednolitofrontowa walka i przyjęcie komunistycznej koncepcji strajku powszechnego zapewniło włókniarzom łódzkim zwycięstwo, umocniło w nich i zwielokrotniło nie tylko siłę społeczną, ale i polityczną, na co wskazywały przeprowadzone zwycięsko 27 września 1936 r. wybory do Rady Miejskiej w Łodzi. Doświadczenia łódzkie 1936 r. stanowiły w ten sposób znaczny wkład w realizację polityki jednolitego frontu skierowanego przeciw narastającym siłom faszyzmu w Polsce.

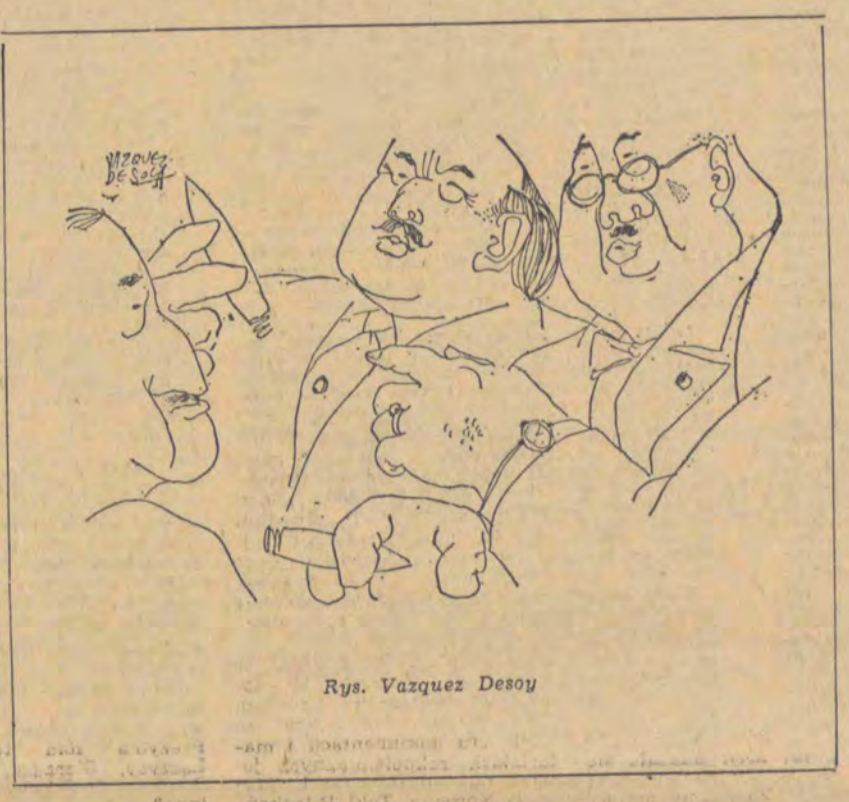

Rys. Vazquez Desoy

łuje w wyobraźni kontury wielkiego miasta. Widzi migotliwe neony kin, teatrów, magazynów, ulice długie, skropione wiosennym deszczem, czerwone światła kawiarń i barów pełnych wytwornego towarzystwa, tysiące aut, i nieprzebrane mrowie ludzi. — Łódź jest duża, druga po Warszawie, więc musi być piękna. — Nie chce wierzyć w jej brzydotę. — Miasto wielkie nie może być brzydkie, i na pewno całe pachnie kawą...

Autobus do Łodzi rusza ze stanowiska trzeciego powoli i dostojnie. Widać to dokładnie przez brudnawe szyby poczekalni, która znowu zapełnia się ludźmi. W poskręcanej uformowanej z nagła kolejce do kas — podróżni depczą sobie po odciskach, pokrzykują, napierają łagodnie do przodu. Pan w skórzanym płaszczu jest ponad to. Umie wytworzyć odpowiedni dystans. Lekki uśmiech, cichutki, cichusieńki świst przez zęby, ledwo widoczne drgania głowy — i sunie do kasy komfortowo: nikt go nie potrąca, nie napiera z tyłu. Zresztą patrzą na niego. Wszyscy. Babiny z koszykami, nieśmiałe dziewczęta z powiatu i miejscowi chuligani obsiadający gęsto ławki pod ścianami.

— Z Opoczna.

— Nie, ze Skierniewic.

— A bo nie! Z Lublina!

— Takie buty w Pabianicach widziałem — wyrostek celuje paluchem w nogi podróżnego.

— Klasa spacerowy — mówi inny.

— Eeee...

— Co, eeee?

— Obczas za mały...

Pan w skórze słyszy te szepty i czerwienieje. Jest już blisko kasy. Zaczyna się spieszyć.

— Dwa do Spały — mówi człowiek w baranim kołpaku. Gdy odchodzi, pan w skórze robi dwa kroki do przodu.

— Dwa do Inowłodza — mówi kociak podchodzący pod czterdziestkę, ubrany w karykaturę miejskiej mody. Pan w skórze robi krok do przodu...

— Raz Opoczno! — woła gromko zażywny jegomość z dużym wąsem. Odchodzi i... teraz pana w skórze kolej. Robi te dwa brakujące do okienka kroki...

Napięcie. Chuligan spod ściany zachodzi skórę od lewej. Chce usłyszeć. Chce dokładnie usłyszeć...

Kasjerka uśmiecha się szeroko pręgami karminu, błyszczą zalotnie żółtawe zębki.

Napięcie... Chuligani wstają z miejsc...

— Nooo?

— Garwolin?

— Wrocław?

— Gówno!

— Raz Warszawa, pospieszny — mówi skóra.

— Warszawa... — szepczę wyrostkowi. I nagle robi się cicho. Pan w skórze kroczy szpalerem milczących prowincjuszy. Kroczy, trudno ukryć, nie bez pewnej dumy. Miękko, posuwiście, uśmiech wciąż na ustach trzyma, choć pod podeszwami piasek trzeszczy i w zęby go kłuje...

6.

Warszawa — myśli. — Mógłbym przecież do Warszawy. Edka adres mam — maca kieszeń z dokumentami, natrafia na kwadratową wypukłość notesu. — Prosta 24/26. Na pewno duża, szeroka ulica z barami na rogach i kinem przy każdej przecznicy. Tych kin to w Warszawie jest... Ze sto chyba... Można by chodzić cztery razy dziennie... z seansu na seans... już bym wiedział jak wydawać pieniądz.... pracę bym dorwał. Edek przecież ma chody i dobry z niego kolega, nawet więcej: przyjaciel. Przyjaciel czy kolega? Kiedyś, jak jeszcze tutaj mieszkał, na pewno był przyjaciel. Razem powszechniaka kończyli, razem do technikum poszli... Potem, gdy na studia do Warszawy trafił, i przyjeżdżał tylko w czasie ferii, oraz latem, w wakacje, też był przyjaciel... Ostatnio jednak źle się z nim gadało. Maniery, gesty, słownik... Nogę na nogę zakładał w „Mozaice" i kawę ze śmietanką prosił. „Nie ma śmietanki" — mówi kelnerka. — „Och, zapomniałem się, przepraszam" — Edek. I ten uśmiech. Nic więcej nie powiedział, ale ten uśmiech... zupełnie jak u gościa w skórze, co przed chwilą bilet do Warszawy kupił...

...Osioł byłem, osioł, gdy do technikum chodziłem. Wycieczki do Krakowa urządzali, do Bydgoszczy i Poznania. Edek zawsze jeździł. Rysiek też... Otrzaskali się ze światem. Z początku chyba każdy się wstydzi i boi. Brr — zatrząsł się cały, bo zobaczył ulice warszawskie (te z filmów) zatłoczone chmarą pięknych kobiet i facetów ubranych dziwacznie: w długie kurtki zamszowe, buty czubkami do góry, krawaty ze skór i czapeczki fikuśne, też ze skóry, z wytłaczanym na otokach wzorkiem. — Paru takich spotkał kiedyś w swoim mieście. Z kamerami byli filmowymi, przez sześć dni buszowali na placu, wieczorami w „Mozaice" drogie wina sączyli, zaśmiewali się na cały głos i twierdzili, że etiuda będzie cycuś, bo plac jest fotogeniczny jak, nie przymierzając, zoologiczna małpa. „Aż się srać chce ze śmiechu" — mówił chłopak, na którego koledzy wołali: Szeryf. — Aż się formalnie srać chce ze śmiechu".

...Nikt się z miejscowych nie oburzał, przeciwnie: dziewczyny mało z majtek nie wyskoczyły, chłopaki rechotali przymilnie, ale cicho, nieśmiało... Dziewczyny zawsze są śmielsze, zaczepić nawet przyjezdnego potrafią, i niejedna potem z takim na dansingu się zakręci... Z chłopakami to oni gadać nie chcą... Są lepsi. Onieśmielają. Albo drażnią. Takiego Igora, to nawet pewne, że drażnią. Jak się tylko jakiś obcy pojawi — Igor od razu do bicia. „W michę — powiada — frajerze zdzielę, to kwadratowe bańki z nosa polecą".

...Igor też by stracił rezon w takiej Łodzi, Warszawie czy Poznaniu. Siła tam — nie wszystko. Chody trzeba mieć, ubranie, pieniądze; z dziewczynami tamtejszymi trzeba umieć gadać, nie tak jak u nas w T. Olga trzy lata w Lublinie pomieszkała (studiuje tam, czy coś) i jak czasami przyjedzie na urlop, to i rodzony ojciec mówić z nią nie może — jąka się i rumieni jakby kościół okradł, a przecież to jego córka...

7.

W poczekalni zrobiło się luźno. Ze stanowiska trzeciego, które przez brudnawe szyby widać jak na dłoni, startuje autobus do Katowic. To już ostatni na Śląsk tego dnia.

— Katowice... — myśli. — Można by przecież do Katowic. Też ogromne miasto, kopalń wokół zatrzęsienie, o pracę nietrudno... — jednak wie, że jeszcze dzisiaj nie pojedzie; ponieważ chłód, to jeszcze nie dziś.

Szedłby już do domu, lecz wyczuwa, że paczka pod przeciwną ścianą rozprawia właśnie o nim. Głupio mu jakoś. Wolałby, aby wyszli przed nim.

Katowice — myśli, ale tym razem z nawyku, bez entuzjazmu, bez najmniejszych złudzeń... — W Katowicach byłbym po drugiej w nocy (rozkład jazdy zna na pamięć) i trzeba by szukać hotelu... Zawsze lepiej przyjeżdżać rano, wówczas cały dzień jest na łażenie i rozglądanie się po mieście... Może by tak jutro do Łodzi pojechać?...

Teraz dopiero widzi — co się święci... Pod przeciwną ścianą, na skraju mizernej ławki (ale to na samym skraju) siedzi otyły, śpiący jegomość z teczką na kolanach i z głową na teczce. Gdyby inni wstali z ławki, jegomość przeważyłby ciałem i runął na posadzkę jak amen w pacierzu. I inni, miejscowi wałkonie, zaczęli właśnie wstawać. Pojedynczo. Ostrożnie. Żeby gościa nie przebudzić. Został tylko jeden, na przeciwnym skraju, i próbuje „huśtawkę", trzymając się ławki rękami i podnosząc z lekka siedzenie...

Odskakuje...

— He, he, he — rechoczą.

Gość gramoli się z błota, z wysiłkiem, z kolosalnym zdziwieniem. Skrajem rękawa wyciera troskliwie upaprana teczkę...

To jest moment, żeby iść do domu. Przez plac. Obok baru, kościoła i zakładu z trumnami. Chuligani już go nie zaczepią. Śmieją się przecież z tamtego.

— He, he, he.

— Ha, ha.

RYSZARD DOROBA

ZANIM zaśniesz

I

Leżał w swoim białym łóżeczku z otwartymi oczami i — choć zawsze o tej porze spał już dawno — słuchał dobiegającego go zza zamkniętych drzwi głosu cioci Bożeny, młodszej siostry swej mamy. Przyjechała do nich w odwiedziny i — jak zawsze podczas swej bytności — napełniła całe mieszkanie stukotem swych wysokich obcasów, wybuchami dźwięcznego, beztroskiego śmiechu i nie kończącymi się opowiadaniami o sobie i swoich sprawach.

Wtedy w domu stawało się jakoś weselej i nie mógł pogodzić się z tym, że o zwykłej porze musi iść do łóżka, tracąc ją z oczu. Lubił przyglądać się jej szczupłej, wysokiej postaci, jej jasnej twarzy, obramowanej misternie ułożonymi lokami białych prawie włosów, jej dużym, niebieskim oczom, w których błyskały raz po raz ruchliwe ogniki wesołości. Lubił patrzeć na nią, ale jeszcze bardziej lubił, kiedy długimi palcami o lakierowanych na czerwono paznokciach brała go za rękę, przyciągała do siebie i sadzała na kolanach. Przytulał twarz do jej piersi, czując na policzku przyjemne ciepło i obejmował ją ramionami.

Gładząc ręką jego włosy wypytywała go o zabawki i kolegów, albo żartobliwie egzaminowała z rachunków. Oszołomiony zapachem jej ciała i pieszczotą dłoni odpowiadał nieśmiało i niezdarnie, wzbudzając jej niepohamowany, wibrujący mu w uszach śmiech. Uśmiechając się całowała go w usta długim pocałunkiem, przywierając do nich swoimi chwytliwymi wargami. Potem — pozbawionego oddechu — zsuwała na podłogę po gładziźnie swych długich nóg, ubranych zawsze w przezroczyste pończochy i podawała mu z uśmiechem dłonie, aby mógł podnieść się i stanąć na nogi.

Odchodził wtedy w kąt pokoju i wciągał długimi haustami powietrze w płuca, nim wyrównał mu się oddech i ustało łomotanie krwi w skroniach.

I teraz — leżąc w ciemnym pokoju, rozjaśnionym tylko skąpo smugą światła, przenikającą przez matową szybkę w drzwiach i słuchając przytłumionego oddaleniem jej głosu — żałował bardzo, że nie może znaleźć się blisko niej. Na ustach czuł jeszcze jej niedawny pocałunek na dobranoc — pośpieszny i zdawkowy, bo opowiadała właśnie o czymś z ożywieniem — i nie domykał ust, aby nie zetrzeć go zetknięciem się warg. Przezwyciężając ogarniającą go coraz bardziej senność czekał, kiedy mama przyjdzie sprawdzić, czy jest dobrze przykryty — i pragnął, aby była z nią również ciocia Bożena.

Uniósł bezwiednie głowę kiedy trzasnęły jakieś drzwi, myśląc, że ktoś wchodzi do jego pokoju — i opuścił ją znowu na poduszkę. Okazało się, że otwierano drzwi do znajdującej się tuż za ścianą łazienki. Zaraz potem do wanny zaczęła spływać woda. Gdy szum jej po chwili ucichł, usłyszał wyraźnie głos cioci Bożeny, rozmawiającej pewnie z jego mamą przez uchylone drzwi łazienki.

— Wyobraź sobie więc — mówiła — że nie namyślając się zbyt długo zdecydowałam się. Romek jest wprawdzie dużo starszy ode mnie, ale kocha mnie bardzo i szanuje, nadskakuje mi i spełnia każde moje życzenie. No i oczywiście bardzo dobrze zarabia, ma ładne, duże mieszkanie i własny samochód. Zresztą starszy mężczyzna jest pewniejszy, bo sama wiesz, jacy teraz są młodzi. Za miesiąc bierzemy ślub i wyjeżdżamy w podróż poślubną do Bułgarii.

— A rozważyłaś to wszystko dobrze? — zapytała mama.

Przez chwilę słychać było tylko chlapanie wody, nabieranej ręką, a potem znowu głos cioci Bożeny.

— Chyba tak. A co tu zresztą jest do rozważania? Urządzę wreszcie swoje życie, a czas już na to najwyższy.

— Jak uważasz. A może powinnaś jeszcze trochę ze ślubem zaczekać, zanim nie poznasz go lepiej?

— Znam Romka lepiej niż siebie, a termin ślubu już został ustalony. Oczywiście serdecznie zapraszam was na ślub i na przyjęcie.

Słuchając tej rozmowy i zaczynając ją powoli rozumieć wyobraził sobie obcego pana, całującego ciocię Bożenę, jak niegdyś ojciec jego matkę — i poczuł nagle skurcz w gardle i napływające gwałtownie do oczu łzy. Starał się powstrzymać je, zdusić je w sobie i łkał chwilę bezgłośnie, aż wreszcie wybuchnął nieopanowanym płaczem.

Pchnięte silnie drzwi do pokoju otworzyły się natychmiast i przy białym łóżeczku stanęła jego mama.

— Dlaczego płaczesz? — zapytała.

Nic nie mówiąc zanosił się coraz głośniejszym szlochem.

— Przyśniło ci się coś?

Płacząc bez przerwy i rozcierając rękami łzy po całej twarzy potrząsnął potakująco głową.

— Uspokój się, to tylko sen — łagodnie powiedziała mama, siadając na łóku i biorąc go za rękę.

Poprzez płacz usłyszał głośne chlupnięcie wody i po chwili do pokoju weszła ciocia Bożena, podtrzymując ręką szlafrok na piersiach.

— Co mu się stało? — zapytała niespokojnym głosem.

— Miał jakiś straszny sen — odpowiedziała mama.

Usiadła obok niej na łóżku, objęła płaczącego siostrzeńca wolną ręką, przytuliła go do siebie i kołysząc nim lekko powiedziała ciepło brzmiącym głosem.

— No nie płacz już, nie płacz.

Czując przez wilgotny szlafrok ciepło jej ciała, kołysany jej ręką i głosem uspokajał się powoli, aż wreszcie — złożywszy głowę na jej kolanach — ucichł zupełnie. Nachyliwszy się nad nim pocałowała go lekko w mokry od łez policzek i wsunęła palce w jego włosy, wichrząc je powolnymi ruchami.

— Nie, boisz się już, prawda? — zapytała.

Zakołysał głową na jej kolanach ruchem przeczenia.

— Już ci się nic nie przyśni — powiedziała z przekonaniem i wsunąwszy rękę pod jego głowę przeniosła ją na poduszkę.

— Śpij, kochanie, śpij.

— Ale zanim zaśniesz — powiedziała mama — wejdź jeszcze na chwilę do łazienki, żebyś nie musiał wstawać w nocy.

II

Leżeli przytuleni do siebie na wąskim, żelaznym łóżku, w półkolistej wnęce wyciągniętych sprężyn. Czując na swej piersi ciepło jej oddechu wspominał z radosnym zdumieniem, jak po wieczornym seansie w kinie nieoczekiwanie wyraziła chęć przyjścia do niego, prosto i bez krygowania się. Nigdy sam nie odważyłby się zaproponować jej tego, choć od dawna pragnął być z nią bez onieśmielającej obecności ludzi, bez ich lepkich spojrzeń i dwuznacznych uśmiechów. Był jej wdzięczny za to i zdawał sobie sprawę, że musiała zdobyć się na niemałą odwagę, pamiętając drżenie jej ręki w swojej przed drzwiami jego mieszkania.

Kiedy przekroczyła je i stanęła przed nim spłoniona i roztrzęsiona, nie mogąc przez długą chwilę odpiąć guzików palta, poczuł się winny jej zdenerwowania i starał się uspokoić ją łagodnymi dotknięciami rąk. Długo nie mogła opanować się, potykała się o sprzęty w pokoju, nie rozumiała wypowiadanych do niej słów i zachowywała się tak, jakby przebudzona została gwałtownie z głębokiego snu.

Znalazłszy się z nią sam na sam w czterech ścianach pokoju — po raz pierwszy od początku ich znajomości — nie wiedział co czynić i co mówić. Posadził ją na jedynym krześle i pokazywał książki, które brała do ręki, nie patrząc na nie, mówił o obejrzanym wspólnie filmie, nie będąc pewny, czy go słucha — i czuł wzrastające napięcie i skrępowanie sytuacją. Nie tak sobie wyobrażał jej wizytę u niego. Sądził, że odgrodzony od nieprzyjaznego świata zamkniętymi drzwiami będzie mógł wreszcie do woli patrzeć w jej oczy i słuchać jej słów, przeznaczonych dla niego i przez niego tylko słyszanych. Nie mówiła jednak nic i siedziała bez ruchu z utkwionym przed siebie wzrokiem, mimo bezpośredniej bliskości odległa i obca.

I kiedy już był znużony jej obecnością, kiedy zaczynał pragnąć, aby wreszcie sobie poszła, stało się coś, czego nie spodziewał się nigdy, co zaskoczyło go i wprowadziło w stan, graniczący z zupełnym osłupieniem — w pewnej chwili westchnęła głęboko, wstała z krzesła i bez słowa zdjęła sukienkę. W bieliźnie podeszła do łóżka, odwinęła przykrytą kocem kołdrę i wsunęła się pod nią zdecydowanym, naturalnym ruchem. Przykryta po szyję, z rozsypanymi na poduszce włosami, patrzyła na niego wyczekującym wzrokiem.

Kiedy nie rozumiejąc wymowy jej spojrzenia nie poruszył się nawet na krześle, uśmiechnęła się do niego łagodnie i ciepło.

— Chodź do mnie — powiedziała.

Machinalnie powtórzył jej czynności i znalazłszy się przy niej objął ją ramieniem i pocałował w usta. Uległe rozchyliła swoje wargi i — przylegając doń całą długością swego ciała — z zapamiętałym oddaniem odwzajemniła jego pocałunek.

To stało się zaledwie przed godziną, a jemu zdawało się, że już od dawna trzyma ją tak w ramionach, wypełniony świadomością pełnego z nią zespolenia. Nie mógł prawie uwierzyć, że jeszcze przed godziną nie znał prawdziwego kształtu jej dziewczęcych piersi, miękkiej krągłości ud i łagodnych sklepień brzucha.

— Dobrze jest ci ze mną? — zapytał, aby usłyszeć od niej potwierdzenie tego, co sam odczuwał każdym włóknem swego ciała.

— Bardzo dobrze — odpowiedziała.

W nagłym przypływie tkliwości pogładził delikatnie końcami palców jej szczupłe, kruche plecy.

— Wiesz, co pomyślałem sobie przed chwilą? — zapytał i nie czekając na jej odpowiedź mówił dalej. — Pomyślałem sobie, że straciliśmy niepotrzebnie tyle czasu. Przecież mogłabyś przyjść do mnie już parę miesięcy temu.

— Chciałam tego, ale nigdy mnie nie zapraszałeś — powiedziała uposząc się i spoglądając na niego z uśmiechem. — Dzisiaj też mnie nie zaprosiłeś.

— Zapraszałem cię zawsze, ale tylko w myślach. Głośno nigdy nie ośmieliłbym się tego powiedzieć.

— I może właśnie dlatego zdecydowałam się przyjść.

Przyciągnął ją znowu do siebie i leżeli już cicho, wsłuchani w bicie własnych serc. Jej oddech stawał się coraz głębszy i — domyślając się, że za chwilę zaśnie na jego ramieniu — zbliżył usta do jej ucha.

— Zanim zaśniesz — wyszeptał — powiedz mi jeszcze, że mnie kochasz.

— Kocham cię — powiedziała sennym głosem.

— Ja też cię kocham strasznie mocno i kochał cię będę zawsze — wyznał żarliwie, czując niemal fizycznie głęboką prawdziwość swoich słów.

III

Leżeli na tapczanie, odsunięci od siebie jak najdalej, aby nie zetknąć się ciałami, szczelnie osłoniętymi, zapiętymi na wszystkie guziki piżamami. W pokoju, wypełnionym gęsto dymem niezliczonej ilości papierosów, wypalonych przez nich podczas tej trwającej już parę godzin rozmowy, było ciemno, tylko przez grubą tkaninę zasłony okiennej z trudem przedostawało się chybotliwe światło ulicznej latarni. Palili w milczeniu, strząsając popiół do rozgradzającej ich popielniczki, postawionej na wgłębionej między nimi kołdrze. Zaciągnęła się kilkakrotnie papierosem, ukazując na krótkie chwile w nikłym, czerwonawym oświetleniu swoją zaciętą, pełną napięcia twarz, zdusiła go w popielniczce i podjęła na nowo znużonym głosem swój przerwany przed paroma minutami monolog.

Otworzył wtedy oczy, piekące od niewyspania i papierosowego dymu i słuchał zrezygnowany nieprzerwanego potoku jej gorzkich i nienawistnych słów — tak, jak słuchał ich wczoraj i przedwczoraj i każdej nocy od wielu już dni. Słuchając przyjmował je czasem do świadomości, czasem zaś tylko ograniczał się do śledzenia spadków i wzniesień jej głosu, aby zmusić swą uwagę do większego wysiłku w bardziej dramatycznych momentach jej tyrady i swoim odezwaniem się dać dowód, że słuchał jej uważnie.

— ...i doprawdy już nie mogę być z tobą dłużej, nie mogę patrzeć na ciebie, na twoją zamkniętą, bezmyślną twarz, słuchać twojego głosu, który — niezależnie od słów, jakie wypowiadasz — wprowadza mnie w stan najwyższego rozdrażnienia. Jak powietrza potrzebuję bodaj najbłahszych rozmów z innymi mężczyznami, potrzebuję obcowania z normalnymi ludźmi, zrównoważonymi i otwartymi, o dobrych, prostych charakterach. A wierzysz mi chyba, że gdybym tylko chciała, znalazłabym wielu mężczyzn, którzy znajomość ze mną poczytywaliby sobie za zaszczyt, którzy szanowaliby mnie i darzyli sympatią. Chyba mi wierzysz i wiesz, kim ja jestem i co sobą przedstawiam?

— Wierzę i wiem — powiedział.

Za oknem zazgrzytał na zakręcie nocny tramwaj, przetoczył się z hałasem nabierając rozpędu i milkł, oddalając się coraz bardziej w kierunku miasta. Za ścianą zaszczekał krótko i przeraźliwie pies sąsiadów, przestraszony jakimś sobie tylko wiadomym snem, a oddaliwszy tym aktem odwagi senne niebezpieczeństwo ucichł i zasnął znowu.

— ...myślałam początkowo, że zdołam cię zmienić, zrobiłam wszystko żebyś stał się inny, taki, jak wszyscy, wytykałam ci twoje wady, uzasadniałam niestosowność twoich postępków, działałam dobrocią i złością, ale nic to nie dało. Jesteś taki, jak dawniej, nieprzystępny i zamknięty w sobie, milczący i nieruchawy. Dlaczego nie chcesz się zmienić? Powiedz mi, dlaczego?

— Jestem już na to za stary — powiedział.

— Nieprawda, nie jesteś za stary. Zmienić się można zawsze, jeśli się tego tylko naprawdę chce. Jesteś tylko po prostu uparty, zwyczajnie i po chłopsku uparty, nic do ciebie nie trafia i nic nie przekonuje. Nie chcesz się zmienić, nie chcesz ani trochę.

— Nie umiem — powiedział.

Sięgnęła po papierosa. Podał jej zapaloną zapałkę i później przypalił swojego. Palili chciwie, leżąc na wznak, prosto i nieruchomo. Ogniki ich papierosów kreśliły w mrokach pokoju niespokojne linie, przygasały z wolna i rozjaśniały się znowu. W pewnej chwili ich dłonie musnęły się przy popielniczce i wtedy rozjarzone końce papierosów odskoczyły od siebie gwałtownie i zatrzymawszy się zadrżały lekko. Zgasili po kolei papierosa, podłożyli ręce pod głowę i milczeli, pełni wewnętrznego napięcia. Pełna popielniczka wydzielała nieprzyjemny zapach, ale nie chciało mu się wstać i wysypać z niej niedopałki. Czekał zresztą, co będzie dalej, pragnąc w duchu, aby zasnęła wreszcie i pozwoliła mu przespać się bodaj parę godzin przed czekającą go jutro pracą. Nie doczekał się jednak.

— Ja już tak dłużej nie mogę — podjęła znowu — wszystko to męczy mnie i zniechęca do życia. Jestem przecież jeszcze młodą kobietą i moja natura dopomina się o swoje prawa, odbiera mi spokój, zakłóca sen i chyba także mąci umysł. A z tobą przecież nic już nie potrafiłabym przeżyć. Czuję do ciebie wstręt nie do przezwyciężenia i nic już na to nie poradzę. Czy ty to chociaż rozumiesz?

— Rozumiem — powiedział.

— Doszłam już do tego, że widok obcego mężczyzny przyśpiesza bicie mego serca, że często myślę o kimś, widzianym przelotnie na ulicy lub w tramwaju. Tak dalej przecież być nie może i ja nie chcę, żeby tak było; nie chcę zacząć pogardzać sobą. I co ty na to? Powiedz przecież coś!

— Niestety nie jestem już dla ciebie obcym mężczyzną.

— Jesteś więcej niż obcy, bo kiedyś byłeś mi bliski, a przynajmniej bywałeś mi bliski, gdyż chciałam jego i mogłam sobie na to pozwolić bez gwałcenia swych uczuć. Ale tamte czasy minęły bezpowrotnie i nigdy już nie wrócą. Słyszysz, nigdy!

— Słyszę — powiedział

— Zabrałeś mi najpiękniejsze lata mojego życia, moją ufność i wiarę w życie, moją świeżość i moją beztroskę. A cóż mi zostawiłeś w zamian? Czy zastanawiałeś się kiedy nad tym?

— Nie, nie zastanawiałem się — powiedział.

— Straciłam już wiarę w to, że ty potrafisz czuć i myśleć. Ale również straciłam wiarę w to, że ty jesteś mężczyzną. Leżę obok ciebie jak obok jakiegoś przedmiotu, jak obok bezcielesnej kukły. A przecież wybaczyłabym ci wszystko, puściłabym w niepamięć wszystko, czym mnie kiedykolwiek wyprowadziłeś z równowagi, czym mnie dotknąłeś i obraziłeś, byle bym tylko mogła widzieć w tobie mężczyznę. Prawdziwego mężczyznę. Ale przecież wiem, że nim nie jesteś, że nie jesteś nim dla mnie, że nie jesteś nim w moich oczach. I cóż ty na to?

— Nic na to nie poradzę — powiedział.

Zamilkła wyczerpana i leżała nadal bez najmniejszego ruchu, oddychając szybko. Mijały długie minuty, pokój powoli zaczynał nasycać się szarością, a światło zaokiennej latarni stawało się coraz mniej intensywne. Od czasu do czasu na chodniku ulicznym słychać było kroki przechodniów, zadźwięczało szkło butelek z mlekiem, częściej już słychać było przejeżdżające tramwaje.

Odwrócił się na bok, twarzą do skraju tapczana, poprawił poduszkę pod głową, wtulił się w nią wygodnie i zamknąwszy oczy przywoływał sen, który odleciał gdzieś daleko i nie chciał na zawołanie powrócić. Jego przybycia pragnął z całej siły, myślał o nim jak o wybawieniu, jak o miękkiej niszy spokoju, w którą rad by się jak najprędzej zapaść.

Nagle ona poruszyła się gwałtownie, wsunęła rękę pod kołdrę, podkurczyła nogi i trwała tak przez chwilę, a potem przywarła do niego ciepłym ciałem, zarzucając mu rękę na piersi.

— Zanim zaśniesz — powiedziała cicho — przytul się do mnie trochę.

Zaskoczony odemknął z powrotem powieki i odwrócił się do niej.

— I znowu skończy się to jak wczoraj — powiedział z rezygnacją — jak wczoraj i jak zawsze.

— Nie szkodzi — wydyszała, obejmując go — nic nie szkodzi.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Toast

Jest studzienka na cmentarzu —
i kto wodę tutaj pije?

Jest kostnica na cmentarzu —
i kto patrzy stąd przez okno?

Jest i wiśnia na cmentarzu —
i kto z niej jagody zbiera?

Drży i gruszka i drży śliwa
w tej śliwinie całkiem krzywa.

Za co, po co, komu, czemu
śliwka wpadnie do studzienki?

Za co, kiedy i dlaczego
w dach zastuka kruche jabłko?

Komu, czemu, za co, po co
zgnije z gruszki ulęgałka?

Nic nic nie wie, nie odpowie,

Więc niczemu za to zdrowie!

Po przejściu

Jeżeli grad, to zły grad krwi —
i wykrwawiony gradem deszcz —
i ty, ty, póki cię rozrywa dreszcz,
rozkuty, z zeschłą krwią przez szyję.

Czerwony lód, gdy popiół grzmi —
to grad krwi których nie dobili.
I narzeczone ich. W pościeli. Czyli
zwycięzcy śpią. A Bóg? Nie żyje!

Żeby choć trumna jedna... Skąd!
Oto zrzucanie halek, białych
jak kwiatek malwy... Skośny bałuch
kaprala... Ewy ścielą... Świąt

zmarłych, scilicet zatłuczonych
tolerowany ledwie kłos.
i nic za progiem. Można żyć... Los? Los;
wdowy, na pryczach zasłużonych...

Czerwony deszcz, skrwawiony grad —
i z gradu — rękawiczka biała —
i rozkosz z wrogiem roztajała —
i dumny w moim progu kat...

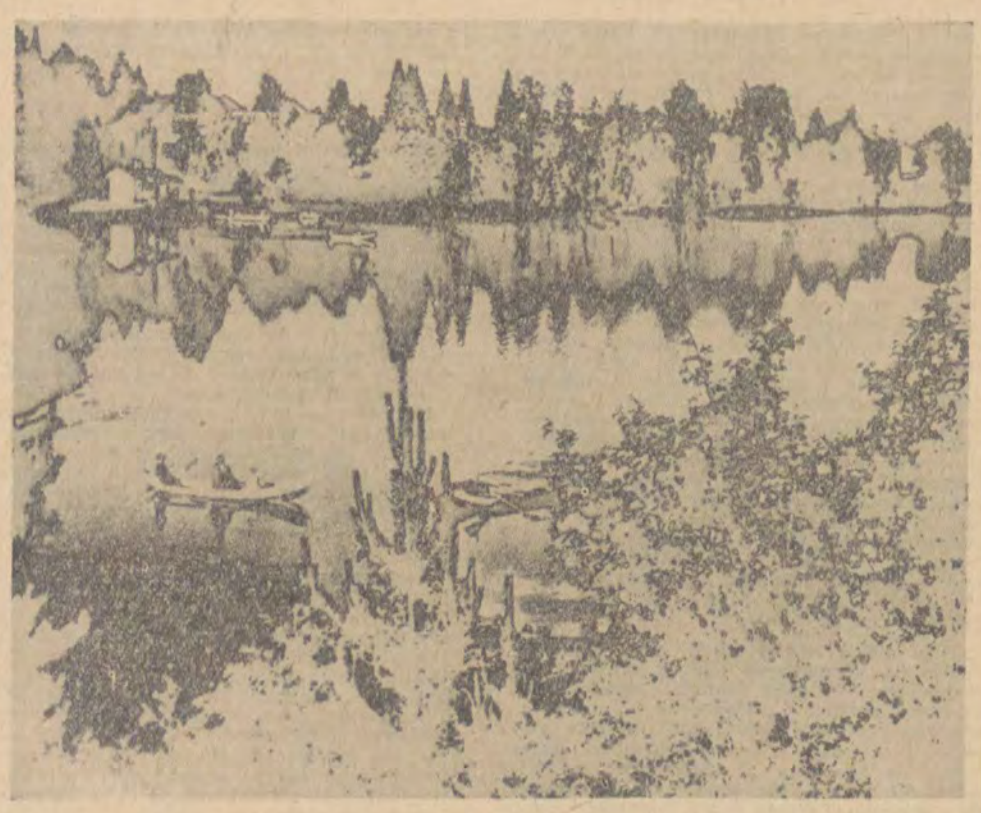

Pauli Oulasvirta. Letnia noc.

ROMAN ŁOBODA

„KTO SIĘ BOI VIRGINII WOOLF" w TEATRZE JARACZA

Słuchanie inteligentnego dialogu prowadzonego przez inteligentnych ludzi daje duże zadowolenie. Widziałem „Kto się boi Virginii Woolf" w wykonaniu Antoniny Gordon — Góreckiej i Jana Kreczmara w Warszawie. Przyznam się, że jakkolwiek chętnie, lecz nie bez pewnego niepokoju szedłem po raz wtóry na sztukę Albeego do Teatru Jaracza w Łodzi. Bałem się, że despotyczny Albee, wtłaczający człowieka w głąb spraw osobistych i mrocznych, wewnętrznych i nieomal powszechnych, że Albee, drążąc naszą świadomość błyskotliwym dialogiem, tym razem nie przemówi do mnie tak sugestywnie. Mimo „udziwnienia" sytuacji przez solatanie się w pożyciu małżonków Marty i George'a brutalnej realności z mistyfikacją na pograniczu freudyzmu, rzecz w zasadzie działa zwyczajnością i niemal powszechnością wzruszeń.

Wiwisekcja, którą dokonuje Albee, powiedzmy sobie wszyscy szczerze, jest bolesna i pozostawia ślady dość trwałe nawet na tych, którzy nie zasmakowali choćby części konfliktów, które każdemu są pisane. Bałem się, że Albee nie zmusi mnie powtórnie do grzebania w sobie, że odbiorę „Virginię" jak dowcip, po raz drugi słyszany. Chyba, że zacznie działać demiurgia autora i magia teatru. Zaczyna się.

Wchodzi na scenę Maria Kozierska; od tej chwili nie będzie już sobą, będzie Martą córką rektora uniwersytetu i żoną George'a doktora historii. To ubieranie skóry innego człowieka, za każdym razem jest jak urodzenie. Bolesne i nieco nieporęczne na scenie. A może my, publiczność, nie potrafimy tak szybko, w lot uwierzytelnić własnym doświadczeniem stanu drugiego człowieka?... i nie rozbieraj się, o ile to możliwe. Bo już chyba najbrzydszy ze wszystkiego jest twój widok po kilku kieliszkach z kiecka nad głową... Tak powie później George do swej podchmielonej żony, a teraz Jerzy Przybylski siedzi i koncentruje się. Ma o tyle łatwiejsze wejście, że jeszcze przez kilka kwestii może pozostać zwyczajnie, mężczyzną rozumiejącym sytuację: szarżującą kobietę na rauszu, swoje zmęczenie i sceptycyzm. Te reakcje, każdy gest, ruch twarzy, dykcja i intonacja są tak naturalne, że... że czuje się trafność i sugestywność współczesnej sztuki aktorskiej. I teraz zaczyna się inteligentny dialog, prowadzony przez inteligentnych ludzi, dialog znany, a znów jakby pierwszy raz — wciągający, zniewalający, swobodny i lekki. Ktoś powiedział: jeżeli nie pamięta się przeszłości, trzeba ją jeszcze raz przeżyć. Kto może spamiętać te wszystkie zawiłości, pułapki, subtelności i niesubtelności — cały paradoks współżycia dwojga płci? Kto?

Fabuła, jeżeliby ktoś na siłę chciał ją w sztuce odnaleźć, jest bardzo niejednoznaczna. Otóż prawiąc sobie wzajemne impertynencje, jak to niekiedy w małżeństwach bywa, państwo Marta i George po powrocie z przyjęcia u ojca rektora, oczekują gości. Jest bardzo późno, około drugiej po północy i wizyta o tej porze ludzi, których George nie pamięta, a Marta mało zna, wydaje się panu doktorowi historii wysoce niestosowna, co w języku sztuki brzmi: Marto, twoje idiotyzmy i ekstrawagancje stają się już nie do zniesienia. Coś takiego mówi George, a Marta odpowiada, że wizytę inspirował tatuś.

Więc goście przychodzą. Młode małżeństwo Honey (Joanna Jędryka) i Nick (Andrzej Głoskowski). Ona ma dużo głupiutkiego wdzięku, a on oschłej drapieżności. Wiedzą czego chcą, lecz nie zawsze o co chodzi. On będzie tu pracował w charakterze biologa, ona będzie mu dalej wdzięcznym obiektem doświadczalnym.

W spektaklu warszawskim młode małżeństwo nie gra w pełni, tylko jakby akompaniuje. W spektaklu łódzkim słyszy się kwartet. Brzmi on czysto i pełniej uwydatnia wszystkie aspekty sztuki. Niezależnie od takiego mojego przekonania jest to temacik do dyskusji: czy sprawę młodych należało pozostawić w cieniu, zakładając jej drugoplanowość i potraktować jako tło centralnego konfliktu starszych, uznać ich obecność za element konstrukcji sztuki, czy też ukazać ich problem wyraźniej, niejako etiologicznie uzasadniając mechanizm zależności, pogardy, obsesji i przywiązania u starszego małżeństwa.

Być może, że w spektaklu warszawskim para młodych za bardzo odstawała aktorsko od pary starszych, chociaż nie twierdzę, że o spektaklu łódzkim było równanie w dół. Przeciwnie. (Nie ponosi mnie ani patriotyzm lokalny, ani obrazoburczość). Wydaje mi się, że wszystkie role były znakomicie obsadzone. Przystawanie sylwetki fizycznej do sylwetki psychicznej nie jest rzeczą do pogardzenia w teatrze. Oczywiście, każdy aktor posiada większy lub mniejszy zakres możliwości kreacyjnych.

Otóż kwartet ten skompletował czyściec. (Może nie aż piekło, finał sztuki zapowiada oczyszczenie). Zaczynają się gry, niby dla zabicia czasu (zabić czas?!), gry towarzyskie, okrutne i nie pozbawione sensu. Przybylski z George'a w miarę spokojnego, sceptycznie filozoficznego, peszącego Nicka na przemian precyzją i paradoksalnością sformułowań, musi powoli zmienić się w podpitego George'a, ofiarę pierwszej gry: upokorzyć pana domu. George nie zmienił charakteru, zmienił tylko „sposób bycia". Pan domu jest upokorzony. Wstaje, nalewa drinka Marcie, gościom i sobie. — Teraz — mówi — będzie druga gra: dosolić gościom. Ta scena jest znakomita. Dosalający George, wybiegająca „na wymioty" Honey, oburzający się i zaskoczony Nick oraz Marta poważna już teraz, czujna — stara się odgadnąć do czego gra George'a zmierza. Marta złamała reguły ich małżeńskiej gry, zdradziła przed Honey mistyfikację ich życia. Być może, że „wychowywanie" syna było potrzebne Marcie. Być może, że George, hodując z Martą ten mit w tajemnicy przed światem rozumiał i Martę i swoją sytuację człowieka niespełnionych nadziei.

Wszyscy znęcają się nad sobą w tym czyśćcu czterech ścian. Nawet głupiutka Honey zaczyna coś niecoś pojmować, ale ona tego nie chce, boi się — za parawanem niewiedzy jest bezpieczniejsza. Zamknięci w kręgu własnych ciał z bagażem obcego życia, spragnieni miłości — nienawidzą się, tęsknią i kochają.

I wreszcie ostatnia gra towarzyska: pomówmy o dziecku. Scena dramatyczna. Goście, a przynajmniej Nick pojmują, że sprawy nie są takie proste, że rzeczywistość i fantazja u Marty i George'a to dwa równoległe światy, że fikcja ma moc niszczącą i moc oczyszczającą. Coś z tych prawd niewymiernych i konwencji dojrzałych umysłów może zdoła uchronić ich od klęski.

(...) Ojciec Myszki to był, widzicie, święty człowiek i on miał coś w rodzaju trupy wędrownej, z nastawieniem trochę na Pana Boga, a trochę na dziewczęta i nabierał wiernych. (...)

Młodzi odeszli. Wygląda na to, że Marta i George zostali sami. Ze sobą. Fikcyjny syn zginął w wypadku samochodowym. Co będzie dalej?

To dobre. To bardzo dobre. Maria Kozierska i Jerzy Przybylski dali koncert gry i zrozumienia tekstu. Joanna Jędryka, poza niewątpliwie dobrymi warunkami zewnętrznymi, również i Andrzej Głoskowski dostroili się do... ba — poziomu całości. A całość — w reżyserii Ewy Bonackiej — odczytana i zinterpretowana celnie. Nic z sensu sztuki nie zostało zagubione, żadnych dłużyzn i „zagłuszeń" — Marta i George nie zbliżają się do siebie (fizycznie) — rzecz jeszcze nie skończona. Zakończenie podobnie jak sprawa kwartetu daje szerszą metaforę. A metafora sztuki, sądzę, że nie mieści się ani w kompleksach bezdzietnych rodziców, ani w niezrealizowanych ambicjach, ani nawet w walce płci. Może to wszystko i jeszcze więcej. Może przyrodzoną niemożność przekroczenia naturalnej granicy, która dzieli dwa samodzielne organizmy i dwie różne psychiki? Kwadratura koła: bez tej granicy nie byłoby tragedii, ale również nie byłoby przyciągania, tęsknoty, a pewnie i miłości.

Najpewniej jednak nie byłoby: Kto się boi Virginii Woolf.

Maria Kozierska i Andrzej Głoskowski.
Fot. Fr. Myszkowski

SPEKTAKLE tygodnia

Teatr

NOWY		
	„Jeszcze raz o miłości", 2 spektakle	1.400 — 100%
	„Bliźniaki z Wenecji", 2 spektakle	1.400 — 100%
	„Lato w Nohant", 1 spektakl	700 — 100%
	„Ali Baba", 1 spektakl	600 — 90%
NOWY Mała Sala		
	„Drewniana miska", 2 spektakle	400 — 100%
	„Indyk", 1 spektakl	200 — 100%
	„Anioł na dworcu", 2 spektakle	400 — 100%
	„Lekcja", „Szaleństwo we dwoje", 2 spektakle	400 — 100%
JARACZA		
	„Kto się boi Virginii Woolf", 2 spektakle	1.344 — 100%
	„Kolumbowie — rocznik 20", 3 spektakle	2.016 — 100%
POWSZECHNY		
	„Tango", 2 spektakle	1.310 — 99%
	„Robin Hood", 1 spektakl	540 — 87%
	„Maskarada", 3 spektakle	1.730 — 87%
7.15		
	„Kłamczucha", 7 spektakli	3.045 — 100%
OPERA		
	„Fra Diavolo", 1 spektakl	700 — 100%
OPERETKA		
	„Sewastopolski walc", 6 spektakli	6.288 — 94%
FILHARMONIA		
	2 koncerty symfoniczne	782 — 59%
ESTRADA		
	Zgaduj Zgadula w Hali Sportowej, 1 spektakl	8.000 — 90%

REGULAMIN

KONKURSÓW POETYCKICH, OGŁOSZONYCH Z OKAZJI OGÓLNOPOLSKIEGO FESTIWALU POEZJI

Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi — Wydział Kultury, Związek Literatów Polskich — Oddział w Łodzi oraz Wydawnictwo Łódzkie organizują Ogólnopolski Festiwal Poezji, w ramach którego odbędą się trzy konkursy poetyckie. Rozstrzygnięcie ich nastąpi w maju bieżącego roku na zakończenie „Dni Oświaty, Książki i Prasy".

I. CHARAKTER KONKURSÓW

1. Konkurs „A" — otwarty, dla poetów wszystkich pokoleń, na niepublikowany utwór poetycki (wiersz, poemat);
2. Konkurs „B" — na niepublikowany utwór tych autorów, którzy do chwili ogłoszenia konkursu nie wydali osobnych tomików poetyckich;
3. Konkurs „C" — otwarty, na niepublikowany utwór poetycki o tematyce łódzkiej (wiersz, poemat, cykl wierszy).

W konkursach „A" i „B" preferowana będzie tematyka milenialna.

II. NAGRODY

Za najlepsze prace przyznane będą nagrody:

1. W konkursie „A".
   1 nagroda — 5.000 zł
   Dwie II nagrody po — 3.000 zł
   Trzy III nagrody po — 2.000 zł
2. W konkursie „B":
   1 nagroda — 3.000 zł
   Dwie II nagrody po — 2.000 zł
   Trzy III nagrody po — 1.000 zł
3. W konkursie „C":
   1 nagroda — 5.000 zł
   Dwie II nagrody po — 3.000 zł
   Trzy III nagrody po — 2.000 zł

Sąd konkursowy zastrzega sobie prawo nieprzyznania którejś z wymienionych nagród, względnie innego ich podziału, jeżeli podyktowane to będzie koniecznością, wynikającą z charakteru nadesłanych prac.

III. SĄD KONKURSOWY

O przyznaniu nagród decyduje 11-osobowy Sąd Konkursowy, w skład którego wejdą wybitni poeci i krytycy oraz przedstawiciele organizatorów konkursów.

Imienny skład Sądu Konkursowego zostanie ogłoszony w późniejszym terminie.

IV. WARUNKI SKŁADANIA PRAC KONKURSOWYCH

1. Autorzy mogą brać udział we wszystkich wymienionych konkursach, o ile spełniają wymagane warunki.
2. Na każdy z konkursów można nadsyłać dowolną ilość prac w postaci czytelnych maszynopisów.
3. Prace winny być zaopatrzone w godło autora. Obok godła należy umieścić symbol konkursu, na który utwór jest przesłany np. konkurs „A".
4. Do każdej pozycji konkursowej należy dołączyć zapieczętowaną kopertę, zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres autora. Na kopercie winno być umieszczone godło autora i symbol konkursu.
5. Utwory konkursowe należy nadesłać do dnia 15 maja 1966 roku pod adresem sekretariatu Oddziału Łódzkiego ZLP, Mickiewicza 8 lub Wydziału Kultury Prez. RN m. Łodzi, ul. Piotrkowska 104. W przypadkach spornych, o terminie nadesłania decydować będzie data pieczęci pocztowej.
6. Wydawnictwo Łódzkie zastrzega sobie prawo wydania nagrodzonych utworów w osobnej publikacji.
7. Rozstrzygnięcie konkursów odbędzie się w drugim dniu Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, 28 maja bieżącego roku.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Z DZIEJÓW CIEMNOTY i ZABOBONU

Książka Bohdana Baranowskiego „Pożegnanie z diabłem i czarownicą" *) jest publikacją popularno-naukową o treści historyczno-etnograficznej. Praca ta powstała jako owoc źródłowych badań naukowych, wspartych wieloletnimi eksploracjami osobistymi autora na terenach województwa łódzkiego i przyległych. Błędem byłoby jednak mniemać, że wszystko, o czym pisze autor „Pożegnania", jest już dziś tylko zamierzchłą i bezpowrotnie minioną historią. Oczywiście, nie ma już od dawna w Polsce procesów czarownic i nie płoną stosy, na których ginęły ongi w męczarniach ofiary ciemnoty i zabobonu. Ale...

Oto parę drastycznych przykładów z bogato udokumentowanej pracy Baranowskiego — przykładów nie tak bardzo odległych w czasie od dzisiejszości. W 1920 r. jedna z klinik położniczych w Krakowie oblegana była w ciągu całego dnia przez wielotysięczny tłum, ponieważ rozeszła się po mieście pogłoska, że pewna kobieta urodziła w tej klinice... diabła. W 1926 r. zatrzymano w Warszawie na Dworcu Głównym umysłowo chorego chłopa, przy którym znaleziono zaświadczenie wystawione przez księdza z pow. łódzkiego, iż nosi w sobie diabła. W 1946 r. na jednym z przedmieść Łodzi, kolportowano wieści o jakimś lekarzu, który przy pomocy strzykawki i ampułek z tajemniczym płynem wstrzykuje swym pacjentom... diabła. W 1955 r. na procesie o ciężkie pobicie niejakiej Leokadii Adaś, uznanej przez gromadę wiejską za czarownicę, jednym z oskarżonych był — warto to podkreślić — 28-letni radiomechanik, a więc człowiek młody i jako tako obyty ze zdobyczami wiedzy współczesnej. W parę lat później dwaj bracia Głowniowie, z zawodu cieśle wiejscy, zamordowali w bestialski sposób (40 ran kłutych!) „czarownicę" Barbarę Wajndlich, a zwłoki jej zakopali w piwnicy... Takich przykładów ludzkiej głupoty, często idącej w parze z okrucieństwem, znajdujemy w pracy Baranowskiego pod dostatkiem.

Jest ona zbyt bogata w treść, by dała się jakoś „streszczać". Wolę więc wybrać spośród nagromadzonych w niej osobliwości kilka szczególnie — jak mi się wydaje — interesujących i wspomnieć o nich na tym miejscu. Jak wynika z „miarodajnych" informacji zebranych w terenie przez autora „Pożegnania", diabły, czarty i inne złe moce, idąc z duchem czasu, wyraźnie unowocześniają środki i sposoby swego niecnego procederu. Widuje się, podobno, dzisiaj diabłów, jeżdżących nocą w eleganckich limuzynach (marki nie ustalono) po mokrych łąkach i leśnych ustroniach; współczesne diabły umieją się jakoby posługiwać nadajnikami radiowymi i innymi urządzeniami technicznymi; nie bez podstaw można więc przypuszczać, że przestarzałe metody smażenia nieszczęsnych grzeszników w piekielnej smole ustąpiły miejsca systematycznemu przypiekaniu ich na zautomatyzowanych elektrycznych rożnach.

Od dawna już przypisywano diabłom sprzyjanie wszelkim nowinkom i nowinkarstwu. Te tradycje, odpowiednio zmodernizowane, trwają do dnia dzisiejszego. Jak podaje Baranowski, w niektórych okolicach naszego województwa, gdzie zamierzano zakładać wiejskie spółdzielnie produkcyjne, poszły w świat gadki, że to diabeł właśnie jest promotorem i patronem tego rodzaju przedsięwzięć. W Wieluńskiem tę samą rolę przydzielono diabłu w zakresie akcji świadomego macierzyństwa. Trzeba było być nie lada śmiałkiem, by dać posłuch tym „diabelskim" nowinkom. Nie trzeba natomiast wcale szatańskiej przenikliwości, by odgadnąć komu nie na rękę było społeczne i obyczajowe nowinkarstwo i kto z premedytacją przypisywał mu najbardziej odrażające, piekielne właściwości.

Bardzo ciekawe są rozdziały „Pożegnania" w których autor ukazuje diabła wykonującego funkcje wręcz przeciwne temu, co o mieszkańcach piekieł twierdzą z reguły podania i poglądy ludowe. Tradycyjnie i przeważająco czart jest w nich przedstawiany jako sprawca i siewca wszelkiego zła, wszelkich klęsk i nieszczęść człowieka. Są jednak odstępstwa od tej reguły: na tle dwóch równoległych zestawień „chłop, pan i diabeł" oraz „robotnik, fabrykant i diabeł" Baranowski, posługując się starannie zebranymi materiałami, wykazuje, że w dobie feudalnego, a potem kapitalistycznego ucisku i wyzysku, diabła czyniono nieraz „stróżem sprawiedliwości" i mścicielem krzywd, doznawanych przez pańszczyźnianych chłopów bądź robotników miejskich ze strony nieludzkich wyzyskiwaczy. A więc w tych przypadkach diabeł spełniał pozytywne funkcje korektora złych układów socjalnych.

Jest też w „Pożegnaniu" rozdział zatytułowany „Czary miłosne", który polecam uwadze nieszczęśliwych kochanków i tych w ogóle, co cierpią udręki sercowe. Receptura różnych „lubczyków" jest tam obfita, a nuż coś pomoże...

* * *

Przeczytawszy książkę Baranowskiego, wypada dojść do wniosku — któremu nie przeczy bynajmniej sam autor, że „pożegnanie z diabłem i czarownicą" nie jest jeszcze w naszym kraju — mimo ogromnych postępów oświaty i kultury — kompletne i ostateczne. Po wsiach i miasteczkach polskich włóczy się zły duch ciemnoty i zabobonu, od czasu do czasu dając jakimś wybrykiem znać o sobie. Nie od rzeczy będzie przypuszczenie, że istnieją nawet pewne ośrodki, które chętnie przedłużyłyby żywot złośliwego demona. Nie należy zapominać, że wiara w piekło i duchy piekielne stanowi integralną część doktryny katolicyzmu i że na tematy diabelskie pisali uczone traktaty najznakomitsi ojcowie Kościoła.

Nie należy też zapominać, że średniowieczna formuła: „Qui non credit diabolum, non credit deum" („Kto nie wierzy w diabła, nie wierzy w Boga") i dziś jeszcze — w kołach obskurantów i fanatyków — ma walor obiegowy. Toteż zły duch ciemnoty i zabobonu — drogą ostrej i bezwzględnej walki — musi być wreszcie ostatecznie i bezpowrotnie unicestwiony, by nie pozostał po nim nawet ślad w umysłach i psychice ludzi wieku atomowego.

---

*) (Łódź). „Wydawnictwo Łódzkie", 1966; str. 199 i 5 nlb. i tabl. 10, cena 25 zł.

ANTONI SZRAM

PEJZAŻE

Józef Wasiołek — Łódź — Tartak
Fot. J. Grygiel

(KARTKI Z WYSTAWY)

„Pejzaż łódzki I", „Pejzaż łódzki II", „Tartak łódzki", „Łódź w nocy", „Czworaki", „Kazimierz nad Wisłą", „Przedwiośnie w górach", „Pejzaż z Piwnicznej", „Pejzaż ze Szklarskiej Poręby I, II, III, IV", itd. — autor: Józef Wasiołek nie wyklucza, jak widać, tematyki pejzażu... Eksploatuje go uwalniając się od jednostronnej fascynacji natura, interpretuje przy pomocy formy nowoczesnej, dalekiej od powierzchownej deklaratywności. Wypracował sobie umiejętność kadrowania najciekawszych fragmentów i sytuacji w krajobrazie. Do jakich granic? Mogliśmy się przekonać na kolejnej wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w galerii—foyer Teatru Nowego w Łodzi.

Rozpiętość temperamentu i rozmaitość kompozycji była bombardująca. Ten klimat emanuje z formy może wysmakowanej, może „landrynkowej", niebezpiecznie akademickiej, ale istnieje w tych pracach jakiś element równowagi wyważony przez autora. Do tego stopnia, że bałbym się dać w ton bardzo znajomy, że takie „małoduszne obrazki o wsi, o miasteczkach polskich można płodzić w nieskończoność". Tak, można. Jednak ten zdawałoby się nieskomplikowany pejzaż, tym razem wyodrębnił się w przewodnią, wasiołkowską kreację i przemówił do nas sugestywnie, pobudzająco.

Co nas myli? To program artystyczny Wasiołka. Trudno referować jego wątki inaczej, niż w formie wyliczenia, bo jest to w istocie wyliczanie też koloryzmu. Bo przecież przy całym „niebezpieczeństwie" gry o nowoczesność, metoda malowania pozostała ta sama. Kolor, kontur, światło, faktura gruba przeszły tylko na służbę właściwych Wasiołkowi nastrojów notowanych linią, punktem i plamą na płótnie podczas pracy nad kompozycją w plenerze. Odkrywanym przez siebie.

Pamiętam recepte na adaptację tego tematu. Z anegdot jakie słyszałem o artyście, jedna szczególnie utkwiła mi w pamięci. Malowanie na śniegu. Przy dwudziestostopniowym (i wyżej) mrozie praca osiągała swój szczyt. I oto coś z modnej Krynicy, Szklarskiej Poręby, Kazimierza, coś z rodzimych pejzaży...

Kto dziś tak maluje? Tylko po to by wzruszyć, zwrócić się do ludzi głuchych, którzy milczą obojętni na piękno krajobrazu, na życie? W epoce nieufności do realizmu popularność olejów Wasiołka zapada w pustkę, a przynajmniej mało wiadomo o jej rezonansie.

Wystawa na nowo odkrywa to malarstwo.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Kto się tym zainteresuje?

Narzekania związane z zaspokojeniem rynku księgarskiego ciągle nie ustają, pomimo że w ostatnim roku zwiększyły się nakłady i ogólny poziom wydawanych książek podwyższył się. Często pokątnie mówi się i plotkuje na temat prac napisanych, a mających pewne kłopoty z ujrzeniem światła dziennego. Tyczy się to nie tylko literatury pięknej, lecz także wydawnictw naukowych, jak też i encyklopedyczno — słownikowych.

Zbliżamy się do punktu kulminacyjnego obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. W związku z tą nadzwyczajną uroczystością przystąpiono już od kilku lat do szeroko zakrojonej batalii wydawniczej, mającej na celu jak najdokładniej zapoznać czytelników z historią kraju i regionów, z którymi są związani. Otóż właśnie pragnę przedstawić pewną sprawę, która zapewne zainteresuje wielu sympatyków muzy Klio z Łodzi i województwa. Chodzi mi tu o otwarte zasygnalizowanie kłopotów związanych z wydaniem pracy dwóch naukowców łódzkich St. i St. M. Zajączkowskich pt. „Słownik geograficzno-historyczny ziemi łęczyckiej i sieradzkiej". Ażeby zrozumieć tę nierozstrzygniętą całkowicie do dziś sytuację i zarazem dość palące problemy, trzeba to nieco szczegółowiej naświetlić.

W początkach lat pięćdziesiątych powołano do życia Kierownictwo Badań Tysiąclecia Państwa Polskiego. Działalność tej instytucji poszła w dwóch kierunkach: pierwszy, to zwiększenie i przyspieszenie badań archeologicznych; drugi, to szczególne zwrócenie uwagi od strony historycznej na warunki i sam fakt kształtowania, powstania i rozwoju Polski. Przystąpiono w ramach tej akcji do opracowywania słowników geograficzno — historycznych poszczególnych regionów, obejmujących materiał do r. 1250. Między innymi z tej serii ukazała się praca dr R. Rosina o ziemi wieluńskiej. Zasłużony uczony łódzki prof. dr Stanisław Zajączkowski przy pomocy dr Stanisława M. Zajączkowskiego zebrał i opracował materiał do geografii historycznej i dziejów osadnictwa ziemi łęczyckiej i sieradzkiej do r. 1400. Datę graniczną przesunięto ze względu na ubogi materiał do dziejów wczesnego średniowiecza tych terytoriów.

Sprawa była już bliska wydania; w 1963 r. zawarli autorzy umowę z Łódzkim Towarzystwem Naukowym. Natrafiono jednak wkrótce na znaczne opory. Przy aktywnym poparciu dyr. Romana Kaczmarka, ówczesnego radnego Woj. RN i Jerzego Prymy pokryto koszty czynności związanych z przygotowaniem do druku. I co dalej? ŁTN zgodziło się na sfinansowanie pierwszej części „Słownika", która zapewne jeszcze w tym roku znajdzie się na półkach księgarskich. Gorzej natomiast jest z drugą częścią, której wydania niestety ze względów finansowych nie chce się podjąć PAN, ani też ŁTN. Uważam, że jedynym „przyczółkiem" pozostaje Wojewódzka Rada Narodowa, która przed kilkoma laty zaszczytnie wyróżniła prof. Zajączkowskiego wysoką nagrodą.

Dla informacji podaję, że „Słownik" ten oparty jest częściowo na pracach i źródłach publikowanych, a także na około stu dokumentach i materiałach rękopiśmiennych jeszcze nie publikowanych (Metryki Koronne, Teki Pstrokońskiego z Muzeum Czartoryskich w Krakowie itp.). Praca ta zawiera bogaty wstępny rys historii osadnictwa Łęczyckiego i Sieradzkiego, w głównej części podaje nadzwyczaj cenne informacje dotyczące dziejów średniowiecznych ok. tysiąca miejscowości położonych na obszarze dzisiejszego województwa łódzkiego. Poza tym wyposażona jest w częste cytaty, różnego rodzaju informacje historyczne i bibliograficzne, a także w indeks i mapę osadnictwa tych ziem do r. 1400. Jest to praca pionierska i konieczna dla dalszego rozwoju badań historycznych i geograficznych, jak również archeologicznych i etnograficznych obszarów leżących w granicach dzisiejszego miasta Łodzi i województwa. Oprócz haseł odnoszących się do miast i wsi podane są także nazwy geograficzne lasów, rzek i pól, i ich historyczny rozwój czy też upadek. Nieocenione usługi oddałaby ta praca przy działalności szkolnych kół historycznych, muzeów, ludzi interesujących się przeszłością Polski środkowej.

Wprawdzie Łódzkie Towarzystwo Naukowe zwracało się do Woj. RN o pokrycie dalszych kosztów, niestety, sprawa stanęła na martwym punkcie. Brakuje jeszcze około stu tysięcy złotych; może w tym pomogą Powiatowe Prezydia Rad Narodowych Łęczycy, Sieradza, Poddębic, Brzezin, Piotrkowa, Kutna i inne?

Jesienią bieżącego roku ma odbyć się Kongres Kultury Polskiej na zakończenie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. Zapewne na duży plus policzono by łódzkiemu ośrodkowi naukowemu wydanie tegoż „Słownika", jak też i władzom miejskim i wojewódzkim za tak zaszczytny i bardzo cenny protektorat, bo jakże można zostawiać pracę w połowie drogi?

KRONIKA Antytelewizyjna

BIGOSIK

I znowu p. Edyta musiała nas przepraszać, wdzięcznie oczy wachlując rzęsami. Zamiast zapowiadanych „Godzin miłości", ujrzeliśmy powtórkę „Świętoszka" Moliera w adaptacji i reżyserii Tadeusza Byrskiego. Mówi się trudno, choroba aktora to siła wyższa, niezależna od technicznych niespodzianek TV.

„Świętoszka" obejrzeliśmy z przyjemnością. (Ach, któryż to raz w życiu?!). Wyraziście wypowiadany wiersz, dobre tempo, świetny Jan Świderski, doskonała Kalina Jędrusik, gdyż inni raczej tylko dzielnie sekundowali, jak to się dawniej pisało.

Na zakończenie chciałem ujrzeć zbliżenie twarzy Świętoszka w momencie zaskoczenia i klęski, ale pokazano nam jedynie oddalającego się, skulonego terrorystę-obłudnika. Może takie zbliżenie było za trudne dla aktora — pokazać mimiką w skrócie wszystkie sprzeczności, szarpiące w kulminacyjnym momencie podłego człowieka, a może nie leżało to w zamiarze reżysera.

Pan Maliniak był zaskoczony zakończeniem sztuki: wszystko przecież kończy się zgodnie z naszym poczuciem sprawiedliwości, ale nic takiego zakończenia nie zapowiadało, deus ex machina — Bóg z maszyny teatralnej.

Musiałem więc przypomnieć mu pewne zwyczaje dawnych autorów i konieczności taktyczne. Jak informuje Boy-Żeleński (przekład tej komedii nie zestarzał się, choć to pono przekłady tragedii mniej są narażone na korozję), wielki pisarz francuski z XVII wieku miewał wielkie kłopoty natury cenzuralnej. Mimo iż król Ludwik XIV przeważnie mu sprzyjał. Nieoczekiwane szczęśliwe zakończenie z adresem do monarchy musiało ocalić sztukę. Znane to nie tylko z dawnej literatury chwyty, doświadczeni czytelnicy w różnych podobnych wypadkach orientują się doskonale.

Oto co pisał Boy:

„Nic nie pomogło poparcie samego króla... Pięć lat „Świętoszek" był wyklęty, a wraz z nim jego autor, ów — jak pisał proboszcz Św. Bartłomieja — „czart obleczony w ciało i przebrany za człowieka, największy libertyn i rozpustnik, jaki kiedykolwiek istniał, zasługujący za ten świętokradzki i bezbożny zamach na najcięższą i publiczną karę, na ogień nawet, nim dosięgnie go ogień wieczny"...

Nowy rozdział programu „Bez apelacji" to znowu sytuacja z tej ziemi, z któregoś piekielnego kręgu biurokracji, której tak nienawidził Lenin. Ludzie kochani! Uczcie się tej nienawiści, karmazyni naszej rzeczywistości i szarzy obywatele, czytajcie po wielekroć tę małą książeczkę Lenina pod tytułem: „O usprawnieniu aparatu państwowego oraz o walce z biurokratyzmem i mitręgą w urzędowaniu"!

Pewien zakład przemysłowy mógł podobno — bo to właśnie powinien był wyjaśnić — zaoszczędzić 300 ton blachy rocznie, a tymczasem od 1962 roku sprawa grzęźnie w stosach papierków, sam zaś cierpliwy racjonalizator, jak słusznie zauważył red. Szulczewski, w tym czasie mógł jedynie zdobyć opinię maniaka.

Abstrahując od meritum, jeszcze raz chce się zaapelować do scenarzystów filmów kryminalnych i widowisk typu sensacyjnego: czemu je tak dokładnie odrywamy od naszej bogatej w doświadczenia rzeczywistości?

Czy państwo lubią „Szpilki"? Na temat samego pisma trudno mi się zdecydowanie wypowiedzieć, mimo różne etapy, ma się do niego sentyment, tam się drukowało jeszcze w 1935 czy 1936 roku. Więc poprzestańmy na samej audycji. Pisałem już, że w praktyce zawężono u nas pojęcie programów rozrywkowych przede wszystkim do inscenizowania piosenek. Składanka, jaką ujrzeliśmy, to prawie propozycja, z której nie należy rezygnować: pomysłowa inscenizacja, udział doskonałych aktorów — wszystko to sprawiło, że na pytanie postawione w tytule trzeba odpowiedzieć twierdząco. Mnie najbardziej podobała się scenka na temat nierentowności. Z trzech listów Mrożka należało wybrać tylko list „dziecka" — Czechowicza do angielskiej pary królewskiej.

Zaniepokoiło mnie, iż TV coraz częściej pozwala kpić z samej siebie. Autokpina może bowiem u nas oznaczać, iż pogodzono się z sytuacją, którą recenzenci i widzowie krytykują. Autokpina to pancerz, skutecznie odbijający strzały pretensji i niezadowolenia. (Aż dziw bierze, że mamy na różnych szczeblach ponuraków, którzy o tym nie wiedzą czy też nie rozumieją wygody takiej postawy!). Nasuwa się analogia: z chwilą gdy w handlu uspołecznionym i w gastronomii wszędzie pojawiły się tabliczki z napisem „Klient ma rację", konkretna racja klienta przestała się liczyć, gdyż w praktyce taki napis oznacza właśnie to: „No, masz przecież te swoją rację... czegóż więcej chcesz... zmykaj tedy, głupi bęcwale!"

W ogólności program ub. tygodnia zasługuje na lansowane przez nas określenie: bigosik, ale w wielu wypadkach dostarczający nam, telewidzom, rozmaitego rodzaju skromnych satysfakcji.

Jan Huszczy

P.S. Przy biciu w rozmaite tamtamy i bębny wszedł na ekran „Faraon". Przyjrzałem się afiszom, rozwieszonym obficie proporcom i stendom, nie zauważyłem, by literacki pseudonim Aleksandra Głowackiego choć w jednym wypadku był wydrukowany przynajmniej tej samej wielkości czcionkami, co nazwisko reżysera Jerzego Kawalerowicza. Literacki pseudonim Aleksandra Głowackiego wszędzie jest ujawniony mniejszymi literami, czasem nawet skrótowo: B. Prus.

To już lojalniej postępuje TV: po każdym programie nazwiska wykonawców, scenografów, kamerzystów, speców od kiepskiej fonii, perukarzy, inspicjentów, krawców, stolarzy, maszynistek, które przepisały tekst, gońców, którzy go przynieśli — podaje literami tego samego rozmiaru i kroju...

J. H.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„(...) Idź do której z naszych świątyń i przypatrz się jej ścianom zatłoczonym obrazami ludzi, zwierząt, drzew, rzek, gwiazd — zupełnie jak ten świat, na którym żyjemy. Dla prostaka figury podobne nie mają żadnej wartości i może niejeden zapytywał: na co one?... po co rzeźbią je z tak wielkim nakładem pracy?... Ale mędrzec ze czcią zbliża się do tych figur i ogarnąwszy je spojrzeniem czyta w nich historię dawnych czasów albo tajemnice mądrości". Tak Prus przemawia do mędrca Pentuera ustami mędrca Menesa w zakończeniu swej powieści. I używając jego własnych słów należałoby przyznać, że „Faraon" ogarnia swym spojrzeniem i jedno, i drugie — dzieje minione i mądrość, która z nich płynie dla współczesnych, mądrość, która nigdy nie przemija, nigdy nie umiera. Prusa fascynowała egipska kultura, wysoki stopień cywilizacji tego narodu. Obok filozoficznej zadumy mamy więc w książce szczery zachwyt dla tego, co opisywane. Obok refleksyjności — rozmiłowanie w przedmiocie historycznym.

Prapremierę „FARAONA" Jerzego Kawalerowicza poprzedziła wyjątkowo duża — jak na polskie zwyczaje w kinematografii — reklama. O filmie tym pisano już od dawna, u nas i za granicą. Między publikacjami znalazły się oczywiście wywiady z twórcami. I jakkolwiek dla odbiorcy ważne jest samo dzieło, a nie deklaracje jego autorów, przy jednej z nich zatrzymam się na moment, gdyż jej sugestie idą w fałszywym — jak mi się wydaje — kierunku. Jest to zamieszczony w jednym z numerów „Filmu" z 1964 roku wywiad z J. Kawalerowiczem. Reżyser zarzuca w nim Prusowi zbyt jednoznaczną interpretację wątku Ramzesa i spraw z nim związanych. Mówi, że odrzuca zawarty w powieści program pozytywistyczny. Co pozostawia? — „Interesuje mnie to co współczesne. Patrzę na powieść Prusa oczyma współczesnego człowieka i dostrzegam w niej sprawy żywe. Szukam dramatu władzy w kontekście dramatu życia". Dramat władzy „pokazany przez walkę o władzę i poprzez ludzkie charaktery, poprzez sprawy psychologiczne, poprzez ludzkie emocje. Kto wie, czy wielcy politycy nie są fanatykami emocji? Dramat władzy w „Faraonie" jest niesłychanie aktualny, współczesny. Mechanika nie zmienia się tak wiele". Tak charakteryzuje problemową zawartość przyszłego filmu reżyser. I faktycznie film przynosi przedstawienie tych zapowiedzianych problemów. Nie można jednak zgodzić się z Kawalerowiczem, że wzbogaca on interpretację Prusa. W moim przekonaniu sytuacja wygląda wręcz odwrotnie. To właśnie Kawalerowicz jest znacznie bardziej jednoznaczny niż Prus. Przecież to wszystko, co znalazło się w filmie, mamy także w powieści. Tylko, że powieść jest bogatsza, pełniejsza. Pod względem psychologicznym, społecznym, politycznym i filozoficznym. Zabieg adaptacyjny ograniczył się tu wyłącznie do wyboru. „Faraon" jest wyjątkowo „grzeczną" pod tym względem adaptacją. I właśnie dlatego wybierając — zubażał. Dramat Ramzesa zawarty w powieści rozgrywa się na różnych płaszczyznach: walki z sobą samym, walk wewnętrznych w społeczeństwie egipskim (stan kapłański contra faraon, lub przeciwko posiadaczom) i walk zewnętrznych — z innymi narodowościami. Jednocześnie rzutowany jest na odwieczną walkę rozgrywającą się w naturze: wody i piasku, Nilu i pustyni; walkę pomiędzy przyrodą i ludźmi, którzy ją ujarzmiają. Filmowemu „Faraonowi" zabrakło tego tła. Piaski, świątynie i pałac Ramzesa — to za mało. To tylko połowa prawdy o Egipcie. Wojsko, kapłani i motłoch szturmujący świątynie — to tylko połowa prawdy o społeczeństwie egipskim. Mimo piramid, piasków i świątyń, mimo wielkiej wierności, pieczołowitości historycznej w odtworzeniu realiów: strojów, architektury i przedmiotów użytkowych, „Faraonowi" filmowemu brak Egiptu — kraju, w którym żyje i z którego żyje naród. Dramat władzy, o który tak bardzo chodziło Kawalerowiczowi, musi więc być niepełny w tych warunkach. „Faraon" filmowy nie umywa się nawet pod tym względem do powieści.

A jednak mimo wszystko film Kawalerowicza jest nadzwyczaj piękny. Jego urok zaczarowany został w obrazie: kolorze, świetle, montażu, gospodarowaniu przestrzenią, architekturą, ludźmi, przedmiotami. Wszystko, co w treści, a także — wbrew sugestiom twórców — jej interpretację, zawdzięcza film Prusowi. Lecz chociaż w zestawieniu z powieścią film wykazuje liczne niedostatki, sam, jako forma ekranowa jest dziełem doskonałym. Uderza tu mistrzowskie opanowanie warsztatu filmowego, świetny typaż postaci. Pod względem plastycznym „Faraon" Kawalerowicza jest prawdziwym arcydziełem. W sposobie ujęć, w ustawieniach kamery, w gospodarowaniu przestrzenią i światłocieniem odnajdujemy tu echa „Matki Joanny od Aniołów". Ale jest też rzecz absolutnie nowa: kolor. Zachwycający. Wyszłam z kina zupełnie nim oczarowana. Jest niesłychanie subtelny, stonowany, cudownie pastelowy. Jest po prostu wyrafinowany w swej doskonałości. Prawdziwa rozkosz dla oczu. Ten film zdecydowanie odcina się od krzykliwości, jaskrawości, przeładowania właściwych zazwyczaj supergigantom. Jest poważny, toczy się powoli, pozwalając z jednej strony na rozwinięcie dysput politycznych, z drugiej — na wielką precyzję plastyczną, na rozsmakowywanie się w każdym ujęciu. Znakomicie buduje Kawalerowicz sceny i sekwencje, umiejętnie dozuje humor (np. doskonałe fragmenty z Fenicjanami). Niezapomniane są doprawdy „wielkie sceny" tego filmu: zaćmienie, manewry, bitwa z Libijczykami. Bardzo dobra i wyrównana jest gra aktorska. Słowa uznania należą się Jerzemu Zelnikowi — jego debiut jest dużym sukcesem. Świetna jest W. Mazurkiewicz jako Nikotris. Zresztą, powtarzam to z przyjemnością, wszyscy aktorzy spisali się doskonale.

Te niewątpliwe walory filmowego „Faraona" z pewnością przyniosą mu uznanie i olbrzymie powodzenie. Nie powstydzimy się naszej „anty-Kleopatry" ani w kraju, ani za granicą.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

RYSUNKI GARCIA LORKI

■ W hiszpańskim pawilonie w Nowym Jorku wystawiono ostatnio 12 rysunków ołówkiem znakomitego hiszpańskiego pisarza Garcia Lorki.

Federico Garcia Lorca (1899—1936) wybitny poeta i dramaturg, zamordowany przez faszystów, interesował się oprócz literatury, żywo malarstwem i rysunkiem, a nawet sam próbował swych sił w tej dziedzinie.

W kwietniu 1925 roku Lorca zaprzyjaźnił się w Madrycie z artysta malarzem, Pieto. Przejęty jego twórczością poeta sam zaczął rysować. W latach 1929—1930 powstały rysunki, które Lorca ofiarował swemu przyjacielowi. Nie były one nigdy dotąd publikowane i wystawiane. Rysunki Garcia Lorki odznaczają się oryginalnością w traktowaniu tematu i niezwykłą ekspresją.

ODNALEZIONA SZTUKA MARIVAUX

■ Sensacja w Paryżu! Bibliotekarce Komedii Francuskiej, pani Sylwii Chevalley, udało się odszukać komedię Marivaux, którą uważano za bezpowrotnie zaginioną (podobnie jak u nas przypadkowo znaleziono „Mimikę" Bogusławskiego). Odszukano wprawdzie nie oryginał, lecz kopię tego dzieła — niemniej stan rękopisu jest wyborny, ani jednej karty nie brakuje, autentyczność została niezbicie ustalona.

Temat sztuki bardzo śmiały: chodzi tu o małżeństwo 20-letniego chłopaka Jakuba ze starą panną, mademoiselle Habert, której „cnota ciąży". Ale młody kandydat na legalnego utrzymanka zostaje zdemaskowany, a przy okazji wychodza na jaw jego niezliczone miłostki ze subretkami, wielkimi damami, a nawet... nieletnimi dziewczynkami.

Sztukę te wystawi niebawem Komedia Francuska. Nosi ona tytuł „La Commèrre".

ŻONA BRYTYJSKIEGO DYPLOMATY AUTORKĄ WSPOMNIEŃ KASIARZA

■ W Anglii ukazała się książka niejakiego Shifty Burke pt. „Peterman — wspomnienia kasiarza". (Peterman — to w gwarze angielskich przestępców — rozpruwacz kas).

W autentyczność wspomnień uwierzyło wiele osób, nawet spośród recenzentów. I tak np. krytyk londyńskiego „Sunday Mirror" pisał, że autor książki kłamie mniej niż wielu innych przestępców, którzy chwycili za pióro. Zapewne popełnił może tylko dwie trzecie tych czynów, które sobie przypisuje. Recenzent dał się nabrać. Autor wspomnień kasiarza nie popełnił żadnego przestępstwa. Okazało się bowiem, że książkę napisała żona brytyjskiego dyplomaty, 55-letnia Peggy Benton, znana dotąd czytelnikom jako autorka książek kucharskich „Fińskie potrawy" i „Ryba na każdą porę roku" oraz tłumaczka z niemieckiego fachowego dzieła pt. „Cegła jako element formy".

A jednak książka Peggy Benton zawiera sporo drobiazgowych informacji, jakie znane mogą być tylko wieloletniemu i doświadczonemu rozpruwaczowi kas. Tajemnicę wyjaśniła występując w telewizji sama Peggy Benton, opowiadając w jaki sposób stała się fachowcem — kasiarzem. Otóż jeden z jej krewnych zajmował się badaniami kryminologicznymi. Przed swą śmiercią powierzył pani Benton materiały ze swych badań, zawierające notatki, uwagi i szkice. Żona dyplomaty tak zafascynowała się pozostawionymi materiałami i tak żywo wyobraziła sobie mentalność przestępcy, że zabrała się z całym zapałem do napisania książki. Ukończyła ją w ciągu miesiąca. Wydawca zaś dla lepszego zareklamowania książki sugerował na skrzydełku tomu, że są to wspomnienia autentyczne go kasiarza.

ZMARŁ WYBITNY MALARZ

■ W nocy z 26 na 27 lutego zmarł w Paryżu wybitny malarz, współtwórca futuryzmu, Gino Severini.

Urodzony w roku 1883 we Włoszech, po studiach w Rzymie przybywa w 1906 roku do Paryża, gdzie wkrótce zaprzyjaźnia się z tej miary malarzami i poetami co Modigliani (również Włoch), Apollinaire, Max Jacob, Picasso i Utrillo.

W roku 1910 jego nazwisko figuruje pod manifestem futurystycznym, który wraz z nim podpisali Boccioni, Carra, Russoli i Balla.

Futuryzm powstały we Włoszech wiązał się nierozerwalnie z kierunkami w sztuce które nurtowały w artystycznych środowiskach paryskich. W roku 1912 Severini bierze udział w wystawie futurystów w Paryżu. W roku 1913 żeni się z 14 lat od niego młodszą, Jeanne Fort, córką ówczesnego francuskiego „księcia poetów" Paula Forta.

W 1916 roku w twórczości malarza zaznacza się tendencja do syntetyzowania kubizmu z futuryzmem. W jakiś czas potem Severini zajmuje się sztuką dekoracyjną, pasjonując się tworzeniem dzieł mozaikowych, tkanin artystycznych i malowaniem fresków.

Tuż przed drugą wojną światową Severini wraca do Włoch i pracuje nad monumentalnymi mozaikami. Do Paryża przybywa zaraz po wojnie.

Gino Severini był ceniony we Włoszech niemal tak jak jego przyjaciel Picasso we Francji.

Jednym z mistrzowskich dzieł zmarłego artysty jest powstały przed pierwszą wojną światową, obraz trzymetrowej szerokości „Danse du Pan-pan au Movico", przedstawiający taniec kankan na Montmartrze. Dzieło to znajdowało się w jednym z niemieckich muzeów i na rozkaz Hitlera zostało publicznie spalone jako typowy egzemplarz „sztuki zdegenerowanej". W roku 1950 Severini zrekonstruował bardzo dokładnie spalony obraz. Obecnie płótno to znajduje się w paryskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

JULIETTE GRECO PO POWROCIE Z NIEMIEC

■ Juliette Gréco niedawno wróciła z podróży po Niemczech. Wszędzie przyjmowana była z ogromnym entuzjazmem i wielką serdecznością. Dała 30 recitali, na które przybyło łącznie 60.000 widzów. Oklaskiwano ją wszędzie entuzjastycznie, a w Berlinie aż przez 16 minut bez przerwy. Pisano do niej listy. „Zresztą nie zawsze, aby mnie pochwalić" — mówi Gréco. „Na przykład pewien pastor z Norymbergi przysłał mi trzystronicowy, gęsto zapisany list, w którym tłumaczył mi, że jestem diabłem. Obwiniał mnie o to, że trwonię siły w służbie uczuć, które nie są nic warte. Otrzymałam jednak od niego jako rekompensatę, ogromną wiązankę bzu".

W Poczdamie odwiedził pieśniarkę czternastoletni chłopiec, który przyniósł ze sobą 50 fotosów Gréco. Zrobił z tych fotografii coś w rodzaju książki. I jako motto przetłumaczył na niemiecki zdanie Mauriaca. Pisarz ten powiedział kiedyś o Juliette Gréco: „Gréco to piękna rybka, szczupła i czarna, która może się obyć i bez przyprawy. Ona sama pożera kaparki".

Pieśniarka po powrocie do Paryża odbyła tournée po dzielnicach robotniczych Sant-Denis, Villejuif, Montreuil, Aubervilliers.

142 FILMY WYPRODUKOWANO WE FRANCJI W 1965 R.

■ W roku 1965 nakręcono we Francji 142 filmy długometrażowe. Po raz pierwszy więcej niż połowe stanowiły filmy kolorowe. Tylko 34 filmy zostały w stu procentach wyprodukowane przez Francuzów i przy nakładzie francuskich kapitałów. Koszt ogólny produkcji filmowej w roku ubiegłym wyniósł 337,14 milionów franków. Kapitały francuskie wyniosły 84,85 milionów franków, a kapitały współproducentów zagranicznych 123,10 milionów.

WYSTAWA POŚWIĘCONA WIELKIEMU WYDAWCY

■ W paryskiej Bibliotece Narodowej otwarta została wystawa poświęcona słynnemu wydawcy, którym był Pierre-Jules Hetzel. Wystawa zatytułowana: „Od Balzaca do Jules Verne. Wielki wydawca XIX wieku".

Wnuczka wydawcy ofiarowała Bibliotece Narodowej cenne archiwum rękopisów, wśród których znajdują się m. in. liczne listy Wiktora Hugo. Jules Hetzel rozpoczął w 1840 roku publikację dzieł Balzaca, George Sand, Musseta, Nodiera i innych, ilustrowanych przez Grandville'a. Książki te były stosunkowo tanie, toteż chętnie je kupowano. W roku 1841 Hetzel podjął inicjatywę wypuszczenia na rynek księgarski pierwszej edycji dzieł wszystkich Balzaca, które ukazały się pod tytułem „Komedia ludzka".

Hetzel był doradcą, wydawcą i przyjacielem takich pisarzy jak Balzac, George Sand (która w czerwcu 1851 roku zaprosiła swego wydawcę na wypoczynek do Nohant), Wiktor Hugo, Lamartine, Teofil Gautier, Baudelaire, Ch. Nodier, Jules Verne i inni.

Hetzel brał czynny udział w życiu politycznym kraju. Jako gorący republikanin walczył w rewolucji 1848 roku.

ZNACZEK POCZTOWY ZE SZCZEREGO ZŁOTA

■ W Gabonie (zach. część Afryki Równikowej) wypuszczony został w niewielkim nakładzie, znaczek pocztowy dla uczczenia pamięci wybitnego uczonego Alberta Schweitzera.

Uczony ten kilkadziesiąt lat pracował ofiarnie w szpitalu jednego z gabońskich miasteczek. Tutaj też zmarł we wrześniu 1965 roku.

Znaczek pocztowy jest cieniutka blaszka z czystego złota o wymiarach 4,5 na 3 cm z normalna perforacją. Na blaszce wyciśnięty jest portret uczonego i daty jego urodzenia i śmierci.

Choć cena znaczka jest bardzo wysoka — 1.000 afrykańskich franków (znaczek na listy wysyłany z Senegalu do Gabonu kosztuje 25 franków) został on wykupiony przez filatelistów w ciągu kilku godzin od momentu ukazania się w sprzedaży.

PIOSENKARZ O SMUKŁEJ POSTACI

■ W telewizji francuskiej występuje piosenkarz Philippe Clay, który znakomicie wykorzystuje swoją nadmiernie wysmukłą postać. Gra zarówno swą twarzą jak i długimi rękami, takimiż nogami i równie długim tułowiem. Wywołuje to świetne efekty komiczne, gdy gestami ilustruje treść śpiewanych przez siebie zabawnych piosenek. W teatrze, z powodu swego wyglądu, występować może tylko w rolach korsarza, mordercy lub komisarza policji.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

No cóż, wiosna. Czuje się ją dość wyraźnie, mimo że cieplejsze kapoty jeszcze na grzbiecie.

Ale gdzieś od ruchów ziemi, korzeni i kiełkowania idzie przez stopy i dalej potężny zew pobudzający rytm serca, krążenie krwi i radość, którą nadzieja niesie.

Wiosna jest jak listonosz, który ma wrzucić do naszej skrzynki jakiś list, wieść od kogoś, o czymś, co nie jest znane, ale oczekiwane — czasem do końca wszystkich naszych wiosen.

WTOREK

Mnie spotkała już taka radość nieoczekiwana. Łódź, miasto bez „okna" na morze, bez rzeki, bez... często wody w kranie, Łódź wypuściła na Bałtyk prawdziwy statek: M/S „Łódź".

Teraz my, łodzianie, powinniśmy w świat, w szeroki, wzburzony horyzont wiosłować naszą łodzią. Niechaj poeci nie ociągają się! W drogę i opiewać „Łódź" żeglującą przez morza i oceany, przez ogromne masy wód, o których marzymy.

ŚRODA

Nakierowywanie zainteresowań młodzieży na właściwe tory znalazło jeszcze jedną interesującą formę: klubo-kawiarnie. W mnożących się ostatnio klubokawiarniach młodzież może spotkać się, podyskutować przy kawie, potańczyć, organizować różnego rodzaju „ogniska" artystyczne. Niekiedy, utajone zamiłowania do muzyki, plastyki, sceny, literatury itp. ujawniają się i rozkwitają w atmosferze dobrze zorganizowanego, mądrze prowadzonego klubukawiarni.

W Studium Nauczycielskim nr 1 przy ul. Wolczańskiej 202 otwarto staraniem organizacji młodzieżowych klub-kawiarnię.

Mam nadzieję, że klub będzie się rozwijał bujnie i harmonijnie, bowiem „z nowej placówki będą korzystać nie tylko studenci, ale i profesorowie".

CZWARTEK

„Psychiatra z Uniwersytetu kalifornijskiego w Los Angeles, dr Horace Moore, leczy chorobliwą zazdrość zastrzykami fenoltiazyny. Rozpoczyna od dawki uderzeniowej, po czym, gdy pacjent uspokoi się, stosuje dawki podtrzymujące. W ciągu jednego tygodnia dr Moore wyleczył dwie pacjentki, które groziły, że wyrzucą swych mężów przez okno".

Nie wierzę; oczywiście, nie, że groziły. Nie wierzę w jakiekolwiek leczenie tego typu jeżeli chodzi o kobiety. Natomiast mogłoby to leczenie przydać się w stosunkach międzyartystycznych. Już widzę mistrza X, który siedzi zapłakany w kawiarni i jęczy: — nie wyszło mu, nie wyszło, a taki zdolny, genialny przecie! Co mu jest? Pewnie chory, albo ma kłopoty finansowe, albo... — I płacze jak bóbr. Innym znów razem widzę mistrza Y, który skacze z radości jak dziecię i szczebiocze: — a mówiłem, zawsze mówiłem, to wielki człowiek, ten V. To jest dzieło na miarę epoki. — Radośnie kwiląc myśli: jakiż ten świat jest piękny, oby tylko nie brakło zastrzyków!

PIĄTEK

W takim nastroju będąc obejrzałem „Kabaret Grand". „Natręci" wcale nie zrobili wrażenia natrętnych. Przeciwnie, zachowywali się taktownie, elegancko, realizowali program z tekstami J. Słowikowskiego i Ryszarda Marka — który jest również autorem kilku dowcipnych tłumaczeń — z muzyką P. Hertela i B. Pawłowskiego.

Zespół: Halina Pawłowicz, Zbigniew Cynkutis, Janusz Kubicki, Andrzej Jędrzejewski i Tadeusz Sabara.

Odradzający się w Łodzi kabaret w konwencji „Grand" opiera się na tradycjach rodzimego kabaretu, mając jednakże ambicje literackie. Pewne onieśmielenie w „awangardowaniu" jest zrozumiałe, gdyż nieuwzględnianie gustu przypadkowej, kawiarnianej publiczności byłoby przedwczesne. Kabaret typu „Pod Baranami" musiałby mieć swoją, już wyrobioną publiczność.

W każdym razie: przyjemne głosy, przyjemne piosenki: muzyka i śpiew. Aktorzy (artyści teatrów łódzkich i estrady) mają kabaretowe zacięcie; szczególnie ciekawy w mimice i geście Tadeusz Sabara. Marta Mirska (gościnny występ), to jednak dobra pieśniarka.

SOBOTA

Konferencja prasowa w „Klubie Dziennikarza" w Łodzi, z okazji premiery filmu „Faraon", była jeszcze jednym przyczynkiem do wielu wypowiedzi w prasie, telewizji i radiu realizatorów adaptowanej przez Tadeusza Konwickiego dla filmu powieści Bolesława Prusa.

Tym razem mieliśmy okazję zetknięcia się „na żywo" z twórcami i wykonawcami filmu. Na zadawane pytania reż. Jerzy Kawalerowicz odpowiadał. Zamierzenia reżyserskie, w interpretacji Kawalerowicza, szły w „przekornym kierunku" stworzenia dzieła uwolnionego od łatwej historyczności, egzotyki na siłę, a przede wszystkim panującej nam miłościwie od dłuższego czasu supergigantomanii, którą niejako narzuca monumentalność tematu. Dramat i mechanizm władzy, walka postaw, a w domyśle klęska i śmierć. Kawalerowicz nie chce przekonywać o racji tej czy innej strony, woli, by do tej racji sam widz doszedł. Młody Ramzes nie musi być wyposażony we wszystko, czym „western" obdarza swego bohatera: siłę, dzielność, szlachetność i mądrość. Mądrość i siła jest po stronie Herchora, który z kolei nie musi budzić sympatii, nie musi mieć również racji. Oszczędność koloru (wyeliminowanie czerwieni, zieleni, niebieskości) utrzymana w tonacji piasku i piramid, oszczędność realiów i kostiumów oraz ascetyczność akcji, pewna teatralność gestu jest podporządkowana ogólnej i konsekwentnej wizji reżyserskiej. Nie ma więc „zadęcia" na gigantyczne widowisko filmowe, rażące przepychem i superegzotyką historycznego czasu. Czas w „Faraonie" jest raczej czasem refleksyjnym, co nie jest w jaskrawej niezgodzie z Prusem, chociaż i to można by przeboleć. Nakreślona przez Kawalerowicza pierwszą wizja konstrukcji filmu, jego zdaniem, została bez mała spełniona w obrazie. Wizja ambitna i antyszablonowa. Zobaczymy jak film sprawdzi tę wizję w odbiorze publiczności i znawców.

NIEDZIELA

Koncert laureatów XII ogólnopolskiego konkursu recytatorskiego dzielnicy Łódź — Górna odbył się w sali Domu Kultury przy Elektrociepłowni II, Al. Politechniki 17.

Piszę właśnie o tym, a nie innym koncercie, gdyż o innych nie wiedziałem ani od strony „Odgłosów" (Notatnika Kulturalnego) ani od strony Związku Literatów Polskich, co dziwne jest i zgoła niezrozumiałe, zważywszy, że tego typu imprezy, ze względu na swoją masowość, walory wychowawcze, wymagają zarówno rozpropagowania przez prasę, jak i zainteresowania nimi tych, których wprawdzie utwory nie są brane pod uwagę przez instruktorów domów kultury, ale którzy niewątpliwie „produkują materiał" dla przyszłych konkursów recytatorskich, to znaczy żyjących pisarzy i poetów. Sprawa bieżącej produkcji literackiej jest o tyle zrozumiała, że zagadnienie głośnego przekazywania poezji a nawet prozy wymaga odmiennych i trudniejszych form a nawet nowej konwencji, powiedzmy, recytatorskiej, co nie jest łatwe ani w sensie dydaktycznym, ani wykonawczym. Natomiast lekkomyślność, czy zgoła obojętność w zainteresowaniu pisarzy, właśnie pisarzy, pięknem żywego słowa, interpretacją uczucia, sensu i formy jest trudne do zrozumienia. Rzecz o wygłaszaniu sztuki pisania w Łodzi dzieje się, jak gdyby mimo pisarzy, lub nawet poza nimi. Gdzie tkwi paradoks, trudno orzec. Fakt jednak jest faktem.

Ale o koncercie laureatów Łódź — Górna. Kilka talentów recytatorskich dało się zauważyć na koncercie. Ad hoc (eliminacje skończyły się o godz. 12.00 tego samego dnia) przygotowany reżysersko „koncert" był zręcznie skomponowany i mógł zainteresować tych, którzy nie byli nastawieni na odbiór kunsztu recytatorskiego czy sensu stricto walorów poetyckich. Mgr Wiesław Szczotkowski musiał tego się napracować, żeby naprędce sklecić słowo-widowisko. Po koncercie rozdanie nagród.

A teraz nieco inna sprawa.

Dom Kultury przy Elektrociepłowni prowadzi ożywioną pracę z wieloma zespołami artystycznymi, prowadzi kurs języków i przygotowuje się do festiwalu teatrów amatorskich.

Mimo to już niebawem będzie zmuszony oddać lokal do dyspozycji komisji poborowej, co przerwie i zdezorganizuje pracę kulturalną na kilka miesięcy. Nie wiem, co jest przyczyną wybrania tego a nie innego lokalu; doceniam ważność spraw związanych z gotowością obronną kraju, rozumiem także walor kultury młodych obywateli; sublimowanie nie zawsze dobrych skłonności w dobre i dlatego myślę, że jeżeli dałoby się pogodzić te dwie Nasze sprawy, byłby to nowy, pożyteczny dla obu stron kompromis.

R. Żelazna

POLONICA

O WYSTĘPACH WARSZAWSKIEJ FILHARMONII

„Frankfurter Allgemeine Zeitung" z 1 lutego br. przynosi artykuł, oceniający występy warszawskiej Filharmonii Narodowej w NRF. Autor artykułu, Gerard R. Koch, pisze, że warszawską orkiestrę można postawić obok Filharmonii Leningradzkiej i Praskiej jako najlepszych w środkowej Europie. Występy warszawskiej Filharmonii Narodowej pod dyr. Witolda Rowickiego i Stanisława Wisłockiego oceniono jednak nie najwyżej, w czym — jak pisze recenzent — zawiniła nie orkiestra, która jest znakomita, lecz program, który nie był zestawiony najlepiej.

WIERSZE SZYMBORSKIEJ I PRZYBOSIA

Tygodnik bratysławski „Kulturny Život" znany jest z tego, że chętnie i często publikuje przekłady wierszy, opowiadań i artykułów krytycznych polskich autorów. W numerze z 7 stycznia br. „Kulturny Život" ogłosił trzy wiersze Wisławy Szymborskiej: „Muzeum", „Ballada" i „Rubensowskie kobiety". Wszystkie utwory przełożył znany z licznych tłumaczeń poezji polskiej — Vojteh Mihalik. W najnowszym (styczniowym) numerze miesięcznika „Host do domu" znajduje się wiersz Juliana Przybosia pt. „Bez" w przekładzie O. F. Bablera.

NAPOLEON I JÓZEFINA

W Anglii ukazała się książka pt. „Napoleon and Josephine" z podtytułem „Biografia małżeńska". Publikacja ta zajmuje się szczegółowo losami pierwszego małżeństwa Napoleona z Józefiną, która — ponoć — kochał on jeszcze wtedy, gdy rozwiódł się z nią dla Marii Ludwiki. O Józefinie Napoleon powiedział: „Ja jedną naprawdę kochałem." Książka ta zwróciła naszą uwagę dlatego, że mowa w niej również o romansie Napoleona z Marią Walewską. Co prawda autor nie poświęca Walewskiej zbyt wiele miejsca, ale pisze o niej ciepło i z sympatią.

FRAGMENT PROZY I RECENZJA

W dodatku literackim do „Frankfurter Allgemeine Zeitung" (z 5 lutego br.) znajdujemy aż dwa polonica. Duży fragment z „Listów do pani Z." Kazimierza Brandysa oraz obszerna recenzję z wydanej w Wiedniu książki Adama Schaffa „Marksizm a jednostka ludzka". Proza Brandysa poprzedzona jest notką o autorze oraz zapowiedzią, że „Listy do pani Z." ukażą się w wydaniu książkowym, nakładem Insel — Verlag we Frankfurcie nad Menem w przekładzie Caesara Rymarowicza. Dodajmy, że „Listy do pani Z." w tym samym tłumaczeniu ukazały się w NRD — nakładem berlińskiego Aufbau — Verlag.

SZTUKA RÓŻEWICZA W PARYŻU

Młody, francuski reżyser, Dominik Serreau wystawił w Paryżu, w sali przy Boulevard Raspail 261, sztukę Tadeusza Różewicza „Świadkowie, czyli nasza mała stabilizacja", w przekładzie Jerzego Lisowskiego. Sztuka ta była poprzednio drukowana we wrześniowym numerze redagowanego przez Sartre'a miesięcznika „Les Temps Modernes".

POLONICA

CORRIDA...

Walki byków wywołują reakcje kontrowersyjne, lecz zawsze pasjonujące. Dla jednych jest to manifestacja odrażającej brutalności. Dla innych — widowisko godne najwyższego podziwu, barwne i piękne w swym surowym rytuale.

Na przestrzeni minionych wieków corrida nabrała specyficznego charakteru, utarły się przepisy gry, ustaliły normy obyczajowe. Już kilkaset lat przed n. e. mieszkańcy półwyspu Iberyjskiego, uprawiali corridę na łonie natury, polując na dzikie byki. Stając oko w oko z tym dzikim zwierzęciem, człowiek nauczył się z nim walczyć, a z biegiem czasu nadał też owym polowaniom specjalny charakter obyczajowy. Co więcej, nabrał umiejętności przyuczania byka do spełniania różnych funkcji, pożytecznych dla człowieka. Ta niezwykła zręczność pozwoliła przodkom dzisiejszych Katalończyków opierać się najazdom Kartaginy i wprawić w podziw Rzymian.

Gdy Hamilkar Barca, sławny wódz Kartagińczyków, wkraczał na hiszpańską ziemię, poraził go widok potężnych hord byków, zaprzęgniętych do wojennych rydwanów, które, niby ciężki taran, szły z impetem na jego wojska. Poganiane ukłuciami dzid, niosły na ogromnych łbach, między ostrymi rogami, płonące pochodnie. Widząc co się święci, Hamilkar powziął błyskawiczną decyzję: wyniósł się z Hiszpanii.

Nieco później, wirtuozeria Iberyjczyków w walkach byków tak dalece zachwyciła Rzymian, iż pod naciskiem opinii publicznej Juliusz Cezar otworzył w Rzymie pierwszą publiczną corridę.

Mniej więcej do XV wieku corrida była domeną arystokracji. Ba, nawet królowie hiszpańscy — Karol V i Filip VI szli w szranki z bykami. W szczególności Karol V zabił ponoć byka „w sposób doskonały i pełen galanterii" — jak relacionują ówczesne kroniki... Z upływem wieków, w wyniku ewolucji społecznych, corrida stawała się coraz bardziej sportem ludowym. Łącznie z tym i zasady walki ujęto w nowe prawidła.

Przeciwnicy corridy utrzymują, że jest to widowisko przesycone okrucieństwem. Być może, lecz nie włączajmy się do dyskusji, której nie widać końca. Atoli, żeby być w zgodzie z prawdą, trzeba stwierdzić, iż byk na arenie ma akurat taką samą szansę życiową, co wół w rzeźni. Niezależnie od tego można też dodać, choć nie będzie mu od tego lżej, że byk jest na pewno zwierzęciem strasznym. Tu i ówdzie słyszy się nawet opinie, że polowanie na lwa czy tygrysa jest ponoć mniej niebezpieczne, niż corrida. Czyżby?

Ale czas skończyć medytacje, bo oto w Arles odbywa się dziś corrida de toros.

* * *

Arena tonie w oślepiającym blasku słońca. Kroplisty pot spływa ze skroni i piecze w oczy. Na amfiteatralnej widowni jeszcze nie wszystkie miejsca są zajęte, rozproszony tłum jest pstry i hałaśliwy.

Arles przeżywa dopiero okres novillady i udział w walkach wezmą tylko młodzi matadorzy, którzy nie zdążyli jeszcze przyjąć oficjalnej konsekracji na słynnej plaza de toros w Madrycie. Wąskimi uliczkami miasta płynie na corridę fala miejscowych notabli, taszcząc ze sobą żony i dzieci, przyjezdnych z Nimes, zagranicznych turystów, robotników hiszpańskich i portugalskich, którzy w ciężkim znoju uprawiają plantacje ryżu w pobliskim Camarque.

Na obrzeżu starego, romańskiego muru, Cyganki sprzedają owoce, plecione koszyki i czapki z papieru. Właściciele lokalnych zakładów fotograficznych wyszli ze swych kramików i sprzedają portrety uznanych bóstw areny. Mniej lub więcej prawdziwi studenci, uzbrojeni w laiki, wymuszają uliczne zdjęcia, żeby opłacić swój dzisiejszy pobyt w Arles. Dwóch starszych panów szybko i bez wytchnienia miele mnóstwo hiszpańskich słów w ożywionej rozmowie. Są z tych, co to wiedzą, że wielki Manolet — to przecież sławny Manuel Rodriguez, a sławny Gallito — to właśnie wielki José Gomez! Mówią też o nowicjuszu Paco Pallares, że bardzo szybko będzie równy takim wielkościom areny, jak Luis Miguel Dominguin, czy Chicuelo. Lecz przede wszystkim porównują go z Antonio Ordonezem, który, nie ma co do tego dwóch zdań, jest gwiazdą przyszłości...!

* * *

W tym czasie Paco Pallares, pod troskliwą opieką swego menażera, przebywa w hotelu Nord-Pintus, gdzie, zresztą zgodnie z tradycją, zatrzymują się matadorzy i ich orszaki. W chłodnym cieniu wytwornego apartamentu, Paco Pallares wkłada rytualny strój matadora: białą koszulę z plisowanym gorsem, naciąga bardzo obcisłe spodnie z grubego jedwabiu, wiele razy owija talię szerokim pasem, wkłada małą kamizelkę i na koniec krótki kaftan, suto przybrany ciężkim haftem ze srebra.

Po umocowaniu we włosach sztucznego warkocza (warkocz matadora) wychodzi przed dom i wsiada do wozu-furgonetki, w którym zajmują również miejsca jego pomocnicy. Tu słowo o pomocnikach: z reguły siedzą na widowni i „pomagają" widzom w owacjach na cześć swego matadora lub dopingują spóźnialskich i gapowiczów do bicia braw. Taki to zwyczaj.

W miejscu zarezerwowanym dla matadorów, z dala od hałaśliwego tłumu, Paco Pallares wysiada z wozu, zbiera siły a następnie odmawia pacierz.

Głuchy pomruk od strony areny wskazuje, że już czas na rozpoczęcie defilady. Ostry dźwięk trąbki, orkiestra ostro atakuje odwieczne paso-doble, wolno otwierają się szerokie wrota i oto, poprzedzany przez konnych, wychodzi na arenę barwny orszak. Na przedzie matadorzy, za nimi pikadorzy na koniach ubranych w czapraki i wreszcie na końcu zaprzęg mułów prowadzonych przez chłopców z obsługi. Paco Pallares kroczy z lewej strony orszaku. Wszyscy pozdrawiają oficjalnych organizatorów corridy, siedzących w specjalnej loży. Po tej krótkiej prezentacji bohaterów dnia cały orszak zajmuje miejsca za barierą, biegnącą wokół areny. Znów dźwięki trąbki i rozpoczyna się akt pierwszy.

Przez małe drzwiczki z boku areny wypada byk. Trzymany w całkowitej ciemności, wchodzi nagle w kontakt z oślepiającym światłem, z przestrzenią, oswaja się z potwornym hałasem. Przez parę chwil stoi nieruchomo po czym rozpoczyna wściekły bieg wokół areny. Jest duży, czarny i rozhukany. Torero obserwuje go bacznie zza bariery. W pewnym momencie wychodzi na arenę pierwszy torero i drażniąc byka barwną muletą, luźno wleczoną po ziemi, kieruje jego wściekłe ataki na siebie. Torero daje tu pokaz niezwykłej odwagi, zręczności, elegancji i fenomenalnej płynności ruchów. Po pewnym czasie wychodzi na arenę drugi torero. I znów ta sama finezja ruchu i zręczności. Ta niebezpieczna gra toreadorów ma głębszy sens: matador-novillero Paco Pallares przez cały czas uważnie obserwuje byka, musi poznać przeciwnika, a nade wszystko dobrze zapamiętać, którym rogiem atakuje byk najczęściej. Mylny sąd może kosztować życie...

Tysiące widzów wstrzymują oddech i nagle długi, potężny okrzyk entuzjazmu wita wejście Paco Pallares na arenę. Skromny uśmiech zdradza jego 18 lat! Znawcy utrzymują, że pod brzemieniem stroju nagle jakby się postarzał, dojrzał. Ale to nieprawda. Wdzięk, giętkość ciała praca jego rąk i muleta zdradzają młodość. Wszystko to jest okrutnie niebezpieczne. Róg byka mija człowieka bardzo blisko, zawsze bardzo blisko...

Matador przerywa grę. Dźwięk trąbki oznajmia wejście pikadorów. Jest ich dwóch, siedzą na koniach przykrytych czaprakami. W dłoniach trzymają długie, metalowe lance. Ich rola polega na zmuszeniu byka do opuszczenia głowy, osiągają to kłując go w kark. Ponadto, niebezpiecznie manewrując, niemal ocierając się o potężne cielsko zwierza, nie pozwalają mu przekroczyć białej linii znaczonej pięć metrów przed barierą. Matador ruchami muleta naprowadza byka na jednego z pikadorów. Rozjuszone zwierzę rzuca się na jeźdźca, olśniewający unik i ostra lanca już tkwi w karku byka. W chwilę potem, znów brawurowo manewrując koniem, pikador dopada byka i wyrywa lancę. Następnie wchodzi w akcję drugi pikador. Powtarza się ta sama scena. Teraz na arenie są już i toreadorzy, i pikadorzy, i matador. Upraszczając całą sprawę, można chyba sprecyzować, iż corrida polega na walce byka z całym zespołem ludzi, którzy dużo ryzykując — to prawda — dążą do zabicia byka w sposób regulaminowy...

Ale powróćmy do walki, bo oto zbliża się już rytualny finał. Na arenę wchodzą nowi zapaśnicy, tzw. banderillero, którzy umiejętnie podchodząc byka, wbijają mu w kark trzy pary małych włóczni z barwnymi wstęgami. Banderillero stoi w środku areny i gdy naprowadzony byk rusza na niego z impetem, wybiega mu naprzeciw i w ostatnim ułamku sekundy, wprost nieuchwytnym dla oka unikiem ciała, mija rogi rozjuszonego napastnika i wbija mu w kark banderille. Ten epizod corridy jest par excellence widowiskowy i publiczność ocenia go znacznie wyżej od harców pikadorów. Rozlegają się długo nie milknące brawa. Lecz teraz wszyscy czekają z niecierpliwością na ostatni akt corridy, na epilog: śmierć byka.

Teraz Paco Pallares stoi nieruchomo, tuż przy barierze. W prawej ręce trzyma szpadę, która migoce w promieniach słońca, w lewej czerwoną muletę. Byk atakuje. Pallares nieznacznym ruchem ciała unika jego strasznych rogów. I znów atak, i znów unik, i znów, i znów... Wdzięk, elegancja i finezja ruchów, skończenie doskonałe opanowanie sztuki, straszliwe ryzyko. Tak, Paco Pallares igra ze straszliwym bykiem. Teraz jeszcze jeden wściekły atak byka i wspaniały unik, pełen największej gracji. Byk wytraca impet, staje, odwraca się do człowieka, kopie kopytami ziemię, nisko pochyla głowę... Cisza zupełna. Paco Pallares z maksymalną drobiazgowością ustala swoją pozycję, wolno odwraca się bokiem, prawą stopę mocno ustawia w piasku, mierzy wzrokiem odległość, na ciele zwierza ustala jedno jedyne maleńkie miejsce, w które musi ugodzić szpada. Trwa to zaledwie sekundy, które zadecydują o życiu lub śmierci!... Byk z impetem idzie do przodu, jest potężny, wściekły, straszny. Może wiedziony odwiecznym instynktem też szuka szansy życia? Jest o centymetry od człowieka. Paco Pallares rzuca się do przodu, jakimś cudem mija rogi zwierzęcia i w mgnieniu oka wbija szpadę aż po rękojeść. Nieomylnie, właśnie w to jedno jedyne miejsce na ciele byka. Byk staje, chwieje się w ostatecznym wysiłku, jakby chciał zaatakować jeszcze raz, ostatni raz. I pada martwy. (st)

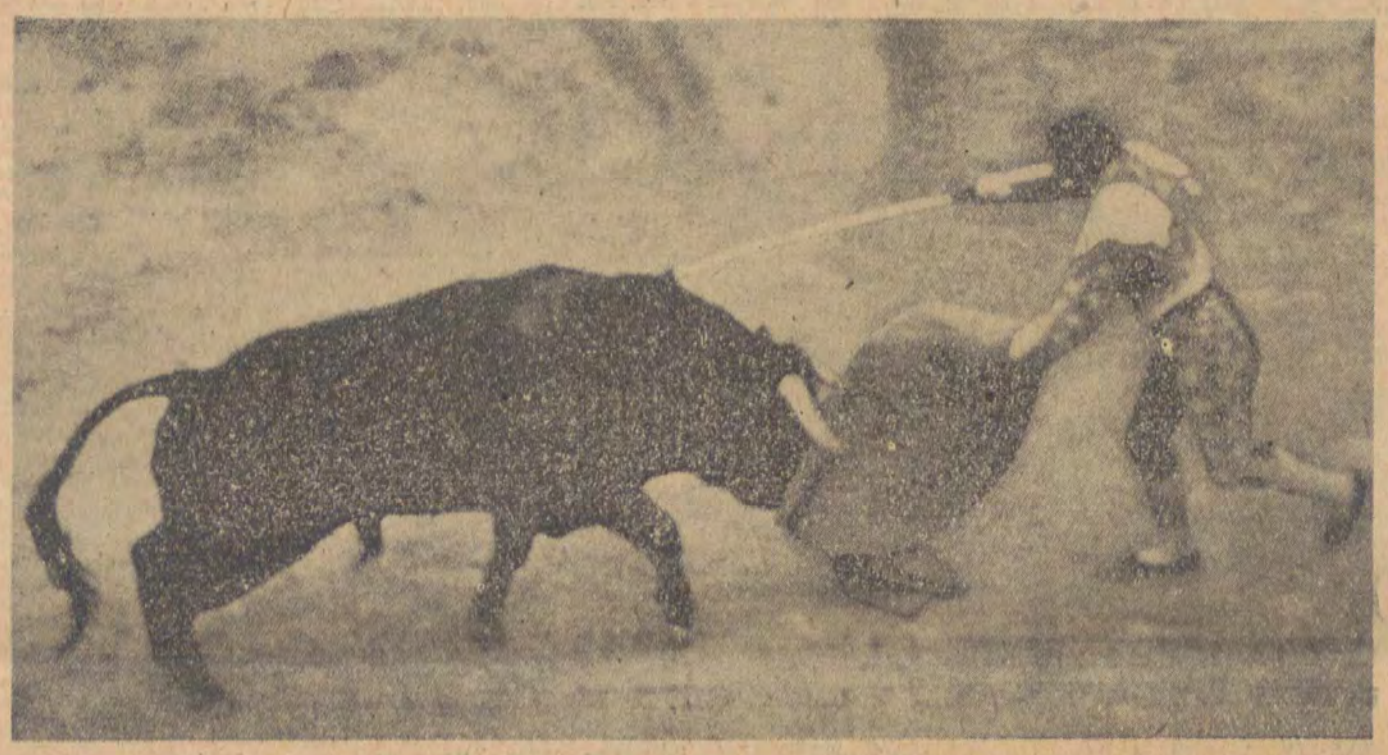

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

O KOLEKCJONOWANIU

Zamiłowanie do gromadzenia różnych, praktycznie do niczego nieprzydatnych przedmiotów jest chyba stare jak świat. Wydaje się jednak, że inne są jego psychologiczne i społeczne uwarunkowania dzisiaj niż były kilkaset lat temu, inaczej też wygląda dzisiejszy kolekcjoner.

Dawniejsi zbieracze rekrutowali się spośród wąskiej grupy ludzi, posiadających za dużo czasu i pieniędzy. Coś trzeba było z tym czasem i pieniędzmi robić, bo nudno. A jeszcze do monstrualnych rozmiarów rozdęta pychą kazała dążyć do wyróżnienia się za wszelką cenę, byleby oczywiście nie pracą, którą zgodnie uznano za przekleństwo i najwyższą hańbę. Ktoś budował najpiękniejszą wieżę, kto inny miał na swym dworze najmniejszego karła, jeszcze inny gubił złote ostrogi na ulicach Rzymu, a byli i tacy, co zbierali po całym świecie dziwne muszle, stare księgi, pieczęcie, ptasie gniazda lub błyszczące kamyki Uważano ich za lekko zbzikowanych, nie szkodzi. Tylko wielki pan ma prawo być zbzikowanym i trwonić całe wioski dla zdobycia jeszcze jednego palca świętego Patryka.

Dziś jeśli ktoś ma za dużo pieniędzy — kupuje telewizor i za jednym zamachem traci nie tylko nadmiar wolnego czasu, ale także w ogóle czas, użytkowany przedtem na zajęcia, pożyteczniejsze nawet od oglądania Jacka z Agatką. Natomiast jest mnóstwo i coraz więcej ludzi, którzy pracując intensywnie przepisowych osiem godzin — no, powiedzmy, bardzo często więcej niż osiem — dzień nie, nie znajdują w tym żadnej satysfakcji. Przy niesłychanie daleko posuniętym podziale pracy nikt już prawie nie widzi nigdy dzieła swych myśli i rąk. Wysiłek pojedynczego człowieka ginie z oczu otoczenia, staje się jakimś niedostrzegalnym, mikroskopijnym, anonimowym drgnieniem ogromnej machiny. Zdegradowany we własnym poczuciu potrzebności, znużony człowiek zaczyna szukać rekompensaty poza pracą. Tak by chyba można uzasadnić dzisiaj powstawanie różnych hobby, a zwłaszcza różnych inklinacji zbierackich.

Ba, jakże tu mówić o „zbieraniu"! Filateliści? Filatelista opłaca abonament i dostaje co drugi dzień tuzin nowych znaczków, coraz piękniejszych. Odpadła przyjemność szukania, znajdowania, tropienia rzadszych okazów. Pozostała przyjemność posiadania, stanowiąca maleńki ułamek tamtej pierwszej. Co innego przecież iść o świcie na polowanie, zmarznąć, zmoknąć, ale przynieść przy pasku chudego zająca, niż posłać po tegoż zająca żonę do Delikatesów. Filumeniści? Opłacają abonament i... (jak wyżej). Zbieracza pocztówek już po paru tygodniach przygniotą hałdy pięknych kolorowych kartoników, wystarczy ręką sięgnąć — salony widokówek wymyślono już pięć lat temu. Gdzież tu zbieractwo? Przemysł, nie zbieractwo.

Smutno się robi. Gdzie jeszcze szukać odrobiny jakiejś egzotyki, wyjątkowości, enklawy naprawdę osobistej, nie dzielonej z nikim, oryginalnej? Dziwaczeć coraz dziwaczniej? Kto wie, czy nie w tym kierunku silniejsze indywidualności zaczną poszukiwać dla siebie klap bezpieczeństwa. Póki co zaś, radzę tymże indywidualnościom zastanowić się nad kolekcjonowaniem czegoś takiego, żeby było trudno i darmo i żeby bliźnim oko zbielało. Na przykład...

Nie, nie będzie przykładów. Cała przyjemność, żeby każdy wymyślił sam.—

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 696 III. 66. E-2